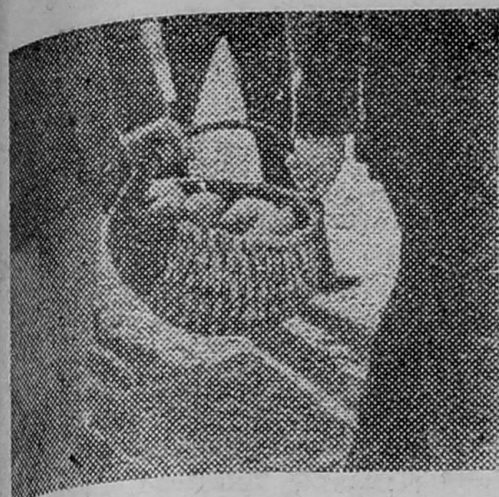




król

ziemniak



wołanie

o pomstę

do nieba



życia od pracji

nie oddzielisz



mój pierwszy

dzień

wolności



KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

46

(318)

KONTAKTY
1986-11-16cena
15 zł

WARTOŚCI MOJEGO ŻYCIA

LILIJKA I ZUPA CHLEBOWA

JOANNA RADOMSKA

Zeszyt składa się z kilku nieco cieńszych, starannie pozszywanych, obłożonych w kolorowy papier, z kartkami ozdobionymi rysunkami i poprzekładanymi zasuszonymi kwiatami. Zawsze go miała przy sobie — w kieszeni białego fartucha — przez wszystkie obozowe harcerskie lata.

GIAŁ DALSZY NA STR. 4

KAROL
JACKOWSKI

SIŁA ZŁEGO

WYRÓŻNIENIE W KONKURSIE
„NIEPOKORNI-NIEPRZEKUPNI”

Dziś, dokładnie czterdzieści dwa lata po tych wydarzeniach, nikt we wsi nie pamięta już szczegółów. Wersje różnią się trochę w zależności od osoby narratora, ale co do podstawowych faktów nie ma kontrowersji. 1 kwietnia 1944 r. oddział AL-u ze wsi Potok Stany koło Kraśnika umówił się na „pogodę”, czyli zakończenie stanu wzajemnej wrogości, z miejscowym oddziałem NSZ-u. Zamiast się godzić, zaczęli strzelać. Pierwszy zginął jeden z NSZ-owców, braci Kobylarzy. Pozostali chwycili za broń i zastrzelili dowódcę AL-owców, „Grzybowski”. W nocy NSZ-owcy wyciągnęli z łóżek AL-owców i ich sympatyków, przeprowadzili doraźny sąd i na czterech z nich wykonali wyrok śmierci. Odwet nastąpił szybko, a w jego wyniku pożegnało się z życiem kilku kolejnych członków NSZ-u.

Tamte krwawe dni mocno wryły się w pamięć mieszkańców gminy. Mordowali się przecież sąsiedzi, często spowinowaceni, znajomi od dzieciństwa, którzy razem paśli krowy, a później wspólnie chadzali na dziewczyny. Po czucie bezsensowności tych śmierci było tym większe, że podziały organizacyjne i ideowe często miały w tych okolicach charakter umowny. O tym, gdzie kto trafił, nieraz decydował przypadek: ktoś miał kolegę w AL-u i siedzi w ślad za nim, ktoś inny, namówiony przez sąsiada, zasilał szeregi NSZ-u.

Minęły lata. Mogiły zabitych zarosły trawą, wyblakły napisy na krzyżach, dawni wrogowie znowu pijali razem wódkę i siadywali w tej samej ławce kościelnej. Ich niedawne życie stawało się historią.

CIAŁ DALSZY NA STR. 8-9

W NASTĘPNYM NUMERZE: głównie – co i jak budujemy ▼ dla-
czego ohydne pudła wciąg w architekturę wiejską ▼ w mieszka-
niowce nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej ▼ co boli
piski „Budopol” ▼ najgłośniejsza budowa patronacka ▼ podejr-
zani poręczają za podejrzanych, czyli aferka węglowa w Raj-
grodzie ▼ rozmowa z Mickiem Jaggerem.

W PZPR TRWA KAMPANIA sprawozdawczo-wyborcza. Dobiegają końca konferencje miejsko-gminne i gminne. Delegaci mówią o bolączkach swojego środowiska, zamierzaniach i walce z negatywnymi zjawiskami życia społecznego, dyscyplinie partyjnej. 6 listopada obradowała Gminna Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza w Łomży. Głosy z dyskusji:

Ryszard Żoń, rolnik ze wsi Stara Łomża: — Nie docenia się produkcji drobiarskiej, choć zainteresowanie mięsem rośnie na całym świecie. Absurdem jest cena skupu jaj w GS-ie: 150 zł za kg, podczas gdy koszt wyprodukowania tej ilości wynosi ponad 200 zł. Gospodynie wiejskie kupują coraz mniej piskląt. W naszym województwie brak tzw. sztucznych kwok, choć bez problemów można je kupić w sąsiednich.

Witold Terepko, I sekretarz POP przy GS-ie w Łomży: — Musi być właściwe współdziałanie samorządów wiejskich z kierownictwem jednostek gospodarczych, dobra praca nad nadzorczych. We wszystkich tych organizacjach znajdują się członkowie naszej partii, to oni powinni być motorem działania.

Plenum postanowiło nie wybierać I sekretarza i Egzekutywy (nastąpi to w późniejszym terminie). Funkcję sekretarza KG PZPR powierzono ponownie Barbarze Kamińskiej.

Zbożna
Jan Grodzki, nauczyciel z SP w Kuziach: — Są jeszcze na naszym terenie organizacje, które nie wywiązały się z obowiązku zwiększania szeregów partyjnych, nie przestrzegają regularności odbywania zebrań, opłacania składek. Często zebrań są źle przygotowywane pod względem merytorycznym, grzeszą słabą frekwencją, nie kończą się konkretnymi wnioskami. Świadczy to o niskim stopniu świadomości i dyscypliny partyjnej.

Witold Piasecki, ponownie wybrany na I sekretarza KG PZPR: — W chwili obecnej nasza organizacja liczy 315 członków i 6 kandydatów. Zażalowany został niekorzystny proces oddawania legitymacji partyjnych. W dalszym ciągu jednak stopień upartyjnienia naszego społeczeństwa jest zbyt niski, zwłaszcza wśród rolników (3,4 proc.). Na 19 wsi aż w 6 brak jest POP. Nie garną się do partii młodzi.

Kolno
Lech Grabowski, dyrektor Szkoły Podstawowej w Zaskrodiu: — W mieście w dwóch szkołach pobiera naukę 1565 uczniów, czyli dwukrotnie więcej od ustaleń normowych. Ponadto SP nr 1, mająca 700 uczniów, nie posiada sali gimnastycznej. Czy nauczyciel, mający w klasie 30, a niejednokrotnie i 40 uczniów lub prowadzący zajęcia na korytarzu czy załocnym placu, może kształtować nowe modele nauczania i wychowania?

Ireneusz Kordas, prezes GS-u w Kolnie: — Warunki placowe są jednym z głównych czynników powodujących stosunkowo dużą fluktuację kadr na wsi. Kwalifikacje oraz postawy pracowników, obok warunków techniczno-lokalowych, wpływają na jakość i kulturę obsługi. Do tego należy dodać, iż niski prestiż społeczny zawodu handlowca sprawia, że do zasadniczych i średnich szkół handlowych nie zawsze idą najlepsi uczniowie, mający predyspozycje do tego zawodu.

Obradom Konferencji przysłuchiwała się grupa bezpartyjnych robotników z kolneńskich zakładów pracy i młodzież Liceum. Funkcję I sekretarza ponownie powierzono Janowi Gawrychowi.

Miastkowo
Realizujemy, nie wnioskujemy — to zdanie, wypowiedziane w kulaarowej dyskusji, najładniej charakteryzuje atmosferę panującą na Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej w Miastkowie. Przyszłość i teraźniejszość coraz bardziej wymagają czynów — mówili delegaci — nie konstruowania utopii. Niepokoje budzi mały wzrost szeregów organizacji, od 1983 r. powiększyła się jedynie o 3 członków. Powtórnie na I sekretarza KG PZPR wybrana została Pelagia Rydel.

Turośl
Lech Kisiel, lekarz weterynarii: — PRON nie stał się ruchem ma-

sowym, jak oczekiwano, i raczej trudno oczekiwać, aby nabył tego charakteru przy obecnych formach działalności, które polegają głównie na akcyjności przy takich okazjach, jak wybory do rad narodowych, Sejmu PRL czy samorządu mieszkańców. Przyczyną podstawową jest brak zainteresowania ruchem ze strony samych ygnatariuszy.

Lech Sabiński: — Chcąc mówić o dobrych kadrach, trzeba mówić równocześnie o bazie, zwłaszcza o mieszkaniowce. Rodziny nauczycielskie, które znalazły miejsce w domu nauczyciela, zakorzeniły się już w gminie na dobre i nie zmieniają miejsca pracy. Mamy jednak i inne przykłady: gmina i województwo wykształciły ludzi, którzy po otrzymaniu dyplomów odeszli, gdyż nie otrzymali godziwego mieszkania. Tymczasem budowa domu nauczyciela w Turośli „rusza” już trzeci rok. Od IX Zjazdu mieliśmy pracować inaczej: jeśli zapadnie decyzja, inwestycja nie może ciągnąć się latami. Inaczej będziemy się tylko ośmieszać.

Funkcję I sekretarza KG PZPR ponownie powierzono Zygmunowi Skrodzkiemu.

26 LISTOPADA rozpocznie się II Zgromadzenie OPZZ. Czego oczekują po nim nasi związkowcy?

Mieczysław Bronowicz (PPS): — Nasza Federacja zrzesza ponad 20 zakładów w kraju, ale tylko około 3000 pracowników. Dlatego na Zgromadzeniu będzie nas reprezentować jeden delegat. Chcielibyśmy, żeby przekazał OPZZ-owi naszą prośbę o zwrócenie większej uwagi na rozwój przemysłu rolnospożywczego, który wreszcie powinien uzyskać jakieś preferencje w stosunku do innych gałęzi przemysłu. Konieczne są natychmiastowe modernizacje, rozbudowa istniejącej, bardzo skromnej bazy przetwórczej. Wiąże się to też z potrzebą poprawienia sytuacji materialnej pracowników naszej branży. W PPS chcemy uzyskać to poprzez budowę dwóch nowych oddziałów oraz — przyszłościowo — spirytoosowni bazującej na syropie odpadowym z glukozy.

Tadeusz Bydolek (ŁZPB): — Przemysł lekki również traktowany jest w Polsce jak piąte koło u wozu. Park maszynowy zdezelowany, zniszczony w 75 proc. Trzeba go odbudować, poprawić warunki pracy w zakładach, przedziałach, zakupić nowe, wydajniejsze maszyny. Mówi się: „przemysł lekki”, ale my widzimy, że nasi pracownicy po tygodniu pracy są tak zmęczeni, że nie mają nawet ochoty na wypocinek organizowany przez związek w ośrodku w Balikach.

KALENDARZOWA ZIMA trwa trzy miesiące, a faktycznie w IV strefie klimatycznej, w której znajduje się Łomżyńskie, nawet do pół roku. O umożliwienie normalnego funkcjonowania gospodarki oraz życia mieszkańców w tych warunkach dba wiele przedsiębiorstw, a ich działalność koordynują komitety ds. akcji zimowej. W Łomży komitet składa się z 17 osób reprezentujących Urząd Miasta, Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, WPEC, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji, Rejon Dróg Publicznych, RUSW, PSS „Społem” i spółdzielnie mieszkaniowe: LSM i „Perspektywa”. Przewodniczy mu wiceprezydent Gilbert Okulicz-Kozaryn. Akcja „Zima” pochłonie w tym roku prawdopodobnie ponad 30 mln zł.

◆ **MPGKIM:** Sprzęt do zimowego utrzymania jezdni miejskich i trzdziesięciu procent chodników jest ten

sam, co w ub. roku, gruntownie odremontowany: 4 „stary” posypywaczki z lekkimi pługami, 2 polewaczki przebrożone na posypywaczki z pługami i samochód asenizacyjny z pługiem, ciągnik gąsienicowy, spycharka DT-75, dwie koparko-spycharki „Białoruś”, pług chodnikowy z ciągnikiem, łomy, kilofy, łopaty. Chodniki posypywane będą wyłącznie piaskiem, jezdnie — mieszanką pospółki (gorszy gatunek żwiru) z chlorkiem wapnia i chlorkiem sodu. Dodatek chemii nie przekroczy 10 proc.

◆ **Zakład Komunikacji Miejskiej:** Spokojne oczekiwanie na zimę; autobusy wyremontowane, plynu borygo pod dostatkiem, kadra w komplecie, jedynie epidemia grypy może zakłócić rytm pracy.

◆ **Rejon Dróg Publicznych:** Sprzęt pracuje aż do pierwszego dnia zimy przy tzw. pracach letnich na drogach i poboczach i jest stopniowo „przebrajany”. Próba kontrola polowicznej gotowości, tzw. dzień X, wypadła w Łomży dobrze. Stan pełnej gotowości obowiązywać będzie od 15 listopada.

◆ **Wydział Komunikacji UW:** Zimowym utrzymaniem przewiduje się objąć 1866 kilometrów dróg twardych, po których kursują autobusy komunikacji KPKS. Utrzymanie pozostałych 633 kilometrów dróg twardych leży w kompetencji naczelników gmin. W pierwszej kolejności odśnieżane będą trasy Łomża — Grajewo — Augustów, Łomża — Zambrów oraz Warszawa (do granicy województwa) Zambrów — Białystok (do granicy województwa).

◆ **Skład opałowy w Łomży:** Miasto i gmina Łomża potrzebują 31—32 tysiące ton węgla, przydział wynosi niewiele ponad 20 tysięcy, w trzecim kwartale dostarczono 6150 ton, a na czwarty przewidziano tylko 4200, czyli połowę zapotrzebowania. Obok „normalnych” kupujących bardzo liczną grupę stanowią „uprzywilejowani”, korzystający z załatwianych na Śląsku, u rodzin lub zupełnie obcych ludzi (za odpowiednią gratyfikacją), deputatów górniczych, asygnat rolniczych, list preferencyjnych. Gdyby realizować tylko pełne przydziały dla inwalidów, emerytów, podopiecznych PKPS, Urzędów Gminy, Urzędu Miasta, PCK oraz dla rolników za dostawy mięsa, tytoniu itp., dla pozostałych nie zostałoby nawet po kilogramie węgla.

Na drewno opałowe chętnych nie ma. Odszraśca cena, niewiele niższa od ceny węgla. Zważając że można kupić tanie odpady w Fabryce Mebli i tartaku.

◆ **Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska:** Ziemiaki zgromadzone są już w 100 proc. Przekracza się też plany rezerw owoców. Nie powinno być kłopotów z warzywami, oczywiście, jeśli nie przytrafi się ostra zima. Większość produktów bowiem przechowywana jest w prowizorycznych magazynach i kopcach. W najgorszych latach straty z tego powodu przekraczały nawet 30 proc.

◆ **WPEC:** Rezerwa miała węglowego jest w zasadzie wystarczająca, gorzej z jego kalorycznością. O ile kiedyś wynosiła ona około 5500 kcal/kg, to teraz zdarza się nawet od 3500 do 3800. Deficyt ciepła wynosi w Łomży 10—11 proc. Planuje się wprowadzić wybudowanie w ciągu 2—3 lat czwartego kotła w ciepłowni miejskiej, ale termin wydaje się dość nierealny i zanim to nastąpi, deficyt może wzrosnąć nawet dwukrotnie. Mimo tych problemów, jeśli tylko zima nie spleta jakiegoś nieprzyjemnego figla, do łomżyńskich mieszkań trafić będzie woda w wymaganej ilości i temperaturze. Po uregulowaniu węzłów ciepłowniczych i chemicznym przeczyszczeniu wymienników ciepła cyrkulacja gorącej wody powinna być lepsza. WPEC nie odpowiada jednak za lokalne niedogrzenia, które mogą wynikać wskutek działalności „spe-

ców” od rozkrzewiania grzejników, a nawet węzłów ciepłowniczych.

UROCZYSTY APELE, akademie i wieczornice w Łomży, Grajewie, Kolnie, Zambrowie uświetniły obchody 69 rocznicy Wielkiego Października. Akademia wojewódzka tym razem odbyła się w sali kina „Wars” w Wysokim Mazowieckiem. W programie uroczystości znalazło się m.in. złożenie kwiatów pod pomnikiem Bronisława Wesołowskiego oraz na grobach żołnierzy radzieckich.

ZADEN ODDZIAŁ w ŁZPB „Narew” nie wykonał planu za 9 miesięcy, a mimo to zakład wypracował 466 mln zysku, z tego 174 mln do podziału. Zysk powstał dzięki korzystnym ruchom cen.

JUŻ 31 PAŹDZIERNIKA wykonał plan skupu ziół łomżyński „Herbapol”. Tegoroczne lato wyjątkowo sprzyjało plantatorom i zbieraczom. 151 ton to blisko dwukrotnie więcej niż w latach ubiegłych, a do końca roku przybędzie w magazynach jeszcze blisko 10 ton. Nie powinno więc zabraknąć w sklepach „Herbapolu” i aptekach pokrzywy, brzozy, rumianku itp. Praktycznie nie obrodził tylko skrzyp, chociaż na pewno nie wystarczy dla wszystkich także rzadko spotykanego świetlika czy arcypopularnej melisy, przesadnie uznawanej za panaceum na niemal wszystkie choroby. W przyszłym roku planuje się skupić w Łomżyńskim około 200 ton ziół.

O KONTYNUOWANIU BUDOWY Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego, doprowadzeniu gazu przewodowego do Łomży, poprawie warunków nauki w szkołach i sytuacji rodzin w trudnych, kryzysowych czasach, a przede wszystkim umacnianiu zdrowia moralnego i wartości estetycznych społeczeństwa dyskutowano na spotkaniu w siedzibie Oddziału Wojewódzkiego ChSS.

ODDZIAŁ ZAKŁADU Ubezpieczeń Społecznych w Zambrowie obejmujące swym działaniem całe województwo łomżyńskie, ale ze względu na rozmieszczenie ludności oraz kłopoty komunikacyjne istniejące utrudnienia w kontaktach interesantów z Oddziałem. W związku z tym decyzją dyrektora Oddziału ZUS utworzono w niektórych miejscowościach punkty informacyjne ZUS, które służą informacjami i poradami z zakresu spraw emerytalno-rentowych oraz innych świadczeń ubezpieczeniowych. Wydają też zainteresowanym osobom niezbędne formularze oraz pomagają w ich wypełnianiu. Działają już trzy takie punkty: w Ciechanowcu, w budynku Urzędu Miasta i Gminy przy ul. Mickiewicza 1, pokój nr 10, we wtorki i piątki w godz. 8.00—12.00; w Kolnie, w budynku Urzędu Miasta i Gminy przy ul. Wojska Polskiego 18, pokój nr 5, w poniedziałki i czwartki od godz. 8.00—12.00; w Wysokim Mazowieckiem, w budynku Rejonowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej przy ul. Białostockiej 6, we wtorki i piątki od 8.00—12.00.

ZARZĄD ODDZIAŁU WOJEWÓDZKIEGO Polskiego Związku Esperantystów w Łomży organizuje kolejny kurs języka esperanto I stopnia. Zgłoszenia przyjmuje i informację udziela Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży. Odpłatność za kurs wynosi 2000 zł.

KULMINACYJNYM MOMENTEM obchodów 60-lecia Międzynarodowego Łomżyńskiego Klubu Sportowego „Start” była uroczysta akademie, na której sztandar ŁKS odznaczony został zbiorową odznaką „Za zasługi dla województwa łomżyńskiego”. Wśród licznie odznaczonych znaleźli się także długoletni działacze: Kazimierz Kaczyński, Rafał Wsędźmowski, Piotr Kossakowski i Henryk Kwiek.

GOŚCILI W ŁOMŻY

Delegacja z Zakładów Piwowarskich „Kaunapilis” w Panewieżyście (LSRR), z dyrektorem Longinem Mackiejawiciusem, sekretarzem organizacji partyjnej Kazimierzem Berejszeniem i przewodniczącą organizacji związkowej Janiną Balseną — w Przedsiębiorstwie Przemysłu Sportowego.

zaprosili nas

Zarząd Oddziału Wojewódzkiego SZS — na uroczyste wręczenie sztandaru: Oddział Wojewódzki ChSS — na uroczystość 30-lecia utworzenia ChSS i 10-lecia powołania Oddziału Wojewódzkiego ChSS w Łomży, która odbędzie się 18 listopada o godz. 10.00 w biurze Oddziału przy ul. Wąskiej 62. Dziekujemy i życzymy następnych dziesięcioleci pomyślnej działalności.

zdanie tygodnia

— Dziś do partii wstępuje się nie po przywileje, ale po dodatkowe obowiązki.

Witold Piasecki
I sekretarz KG PZPR w Zbojnej

myśl z ciestem

„Usłyszeć to zapomnieć, zobaczyć to zapamiętać, a działać to zrozumieć”.

(porzekadło chińskie)





król



ziemniak

Tegoroczne Święto Ziemniaka w Mońkach miało szczególnie uroczystą i barwną oprawę; może dlatego, że kartofel obrodził jak nigdy dotąd, a rekordowy jego okaz z gatunku „Bronka” ważył prawie 2 kilogramy. Monieckie to istne zagłębie ziemniaczane; z hektara zbiera się tu przeciętnie 250 kwintali, a rekordziści — nawet 300.

— Światowy rynek ziemniaczany się kurczy, ale ziemniak jest i pozostanie naszym bogactwem we własnym gospodarstwie — powiedział minister Stanisław Ziemia w rozmowie z plantatorami.

Po raz pierwszy w tym roku mieszkańcy gmin Jasionówka, Jaświły, Knyszyn, Krypno i Mońki rywalizowali w biegach z koszami i workami pełnymi kartofli, w tarcu ziemniaków, w śpiewach i tańcach. Uciechy było co niemiara. Zwyciężyli gospodarze z Moniek, a przeciwnicy zapowiedzieli w przyszłym roku srogi rewanż.

TEKST I ZDJEĆ A
GABORA LORI CZEGO



budzenie serc

Ekstaza, choć trwa krótko, jest przeżyciem niezapomnianym i zdarzającym się ludziom rzadko: w miłosnym zbliżeniu, szczególnych momentach kontaktu z przyrodą, sztuką, w modlitewnym zapamiętaniu. Zdarza się, że przeżywamy ją grupowo. W zbiorowym uniesieniu czujemy się zazwyczaj stopień w jedno z otoczeniem co działa na nasze dusze jak oczyszczająca kąpiel, być może dlatego, że jedynie bezgrzeszne noworodki żyją bez poczucia swej odrębności wobec środowiska. A gdy chwila szlachetnego katharsis mija, jakiś czas jeszcze czujemy się pokrzepieni doznana wspólnotą przeżyć i pragnień.

Takie odczucia przeżyła 26 września niepoliczalna liczba ludzi, głównie młodych i bardzo młodych, zjednoczonych w „Łańcuchu czystych serc”, wijącym się przez Polskę od Tatr do Bałtyku, a konkretnie — od Cieszyńska do Sopotu. Było to wydarzenie w naszym krajobrazie niezwykłe: po raz pierwszy w Polsce Ludowej, przynajmniej za mojej pamięci, ludzie wyszli z domów, by coś zmanifestować. I nie była to typowa manifestacja — za lud przeciw cemuś względnie komuś, lecz niejako publiczna deklaracja: „Chcę być sobą”. Ale nie było jakimś kłosem, lecz kims czystym, dobrym, wrażliwym i przede wszystkim żyjącym nie tylko dla siebie, a również — czy może przede wszystkim — dla innych. Idea piękna, a zjawisko zdumiewające, ponieważ zaistniało w momencie, gdy wydawało się, że w Polsce „mieć” zdecydowanie zdominowało „być”. Ostatnimi laty istotniejsze bowiem stawało się to, jakie ktoś ma na sobie ciuchy, niż jakie posiada wnętrze; liczyły się nie przymioty serca, lecz zawartość portfela. Pogoń za pieniądzem i dobrami materialnymi stała się dla wielu nadzwyczajnym, jeśli nie wyłącznym, celem życia. Ileż każdy z nas zna przykładów wyjazdów na wielkie tyranie „za wodę”. Bywa, że rodzice zostawiają nawet małe dzieci, powierzając je dość przypadkowym opiekunom. Wydaje im się bowiem, że kolorowe paczki zastąpią dzieciom czułość i troskliwość rodzicielską, a „zielone” zapewnią im dorosłe szczęście.

Marzy mi się, by ten rodzaj się wśród młodych ruch „czystych serc” pomógł przywrócić dorosłym utracony zdrowy rozsądek. Marzenie to być może się ziści, gdyż ruch przybiera na sile bardzo szybko: pierwszy raz hasło padło publicznie 14 kwietnia br., kiedy to podczas spotkania uczniów i nauczycieli Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Sempolowskiego w Warszawie z Markiem Kotańskim uczniowie zdecydowali, że ich Liceum stanie się „szkołą czystych serc”, czyli że stosunki międzyludzkie opierać się w niej będą na zaufaniu i życzliwości, nie tylko w relacjach uczeń—uczeń, lecz również uczeń—nauczyciel. Za przykładem Liceum im. Sempolowskiego poszły inne szkoły, a że idea „chwyciła”, świadczy udana impreza — „Łańcuch czystych serc”. Jak dotąd jednak w żadnej ze szkół w Łomżyńskim ruch „czystych serc” nie znalazł — niestety — żywszego odzwierciedlenia czy konkretnego wyrazu. Wydaje się, że jakieś serca zaczynają się budzić w łomżyńskim ŁO. Prawdopodobnie w listopadzie Marek Kotański będzie gościem łomżyńskich licealistów oraz najbardziej zaangażowanych nauczycieli województwa. I być może w rezultacie tej wizyty powstanie jeszcze jedna szkoła „czystych serc”. Nie dla statystyki wszakże i nie dlatego, żebyśmy nie byli „gorsi” niż inne rejony kraju, lecz dlatego, że w każdym miejscu na ziemi młodzi czy starzy nie powinni żyć w izolacji od innych ludzi, zagubieni w świecie i w sobie samych. Wszyscy powinniśmy zrozumieć, że każdy z nas potrzebuje innych tak samo jak jedzenia, picia czy powietrza, oraz że inni potrzebują nas.

DANUTA WRONISZEWSKA

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Dzisiaj druhna Helena przeciera chusteczką okulary i mówi: — Gdybym nie była taka słaba, zaraz bym z nimi do Nowego Młyna poleciała; schabowych nasmażyć, zupy pożywnej ugotować, deser dobry zrobić. A jedli z takim apetytem, że zaominałam o zmęczeniu. Już z kolacją dzień się kończył, a tu jeszcze po ognisku głowę do namiotu wsadzać i mówić: „Druhno szefowo, choć kromeczkę, bo zaraz z głodu padniemy i będzie nas druhna na sumieniu całe życie miała”. Znalam ja te ich sposoby, ale chleb zawsze miałam w pogotowiu, no i coś do chleba, oczywiście.

Helena Zwierzyńska urodziła się w Łomży. Dzieciństwa nie miała anielskiego. Matka nie rozpieszczała licznej gromadki. Ojciec pracował w cegielni Żyda Brzezińskiego jako majster. Dla dzieci był bardzo dobry. Od niego nauczyły się szacunku dla pracy i ludzkiej godności. 18-letnia Helena także poszła do cegielni. Pracowała przy formowaniu cegieł. Było jej ciężko, ale w domu czekało przecież sześćoro rodzeństwa. W cegielni poznała swego przyszłego męża. W 1937 roku odbył się ślub, a tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej przyszedł na świat jedyny syn. We wrześniu 1939 mąż poszedł na front, ona wraz z dzieckiem znalazła się w Zambrowie. W wojskowej kuchni było wyjątkowo gorąco. Zapamiętała pewien wrześniowy poranek, kiedy na ukryty między czterema kasztanami magazyn żywności spadły pierwsze bomby. Gdy je dzisiaj chleb, przypomina sobie twarze młodych chłopców w za dużych nieco butach, odwijających troskliwie zawinięte kromki z płóciennych szmatek i krojących słoninę z o-

cie, brudzie i smrodzie, nawet w piwnicach i wnękach.

Wkrótce spadły na panią Helenę obowiązki przybranej matki. Jej kuzynka osierociła dzieci w gorący czas zimy 1944 roku. Front stał tuż-tuż i wreszcie ludzie zaczęli wychodzić z piwnic.

Po wojnie pani Helena wyjechała do Gliwic. Sześć lat przepracowała w hucie jako strażnik przemysłowy, a później była kucharką w miejscowej restauracji. Ze względu na stan zdrowia w 1962 r. wróciła do rodzinnego miasta. Była kucharką w przedszkolu i w Szkole Podstawowej nr 5, której nauczycielką, pani Sierżputowska, zajmowała się harcerstwem. I ona właściwie wciągnęła panią Helenę do ZHP. Pierwszy obóz (Nowy Młyn, 1963) trwał sześć tygodni. W lipcu złożyła przyrzeczenie i otrzymała legitymację instruktora ZHP. A potem przez dwadzieścia lat każde wakacje spędzała już z harcerzami: Woźnawieś, Nowy Młyn, Ossowiec, Kozioł. Były też zimowiska. Zdarzyło się, że kuchnia musiała nakarmić nawet 700 obozowiczów.

Druhna Helena pamięta historię z zupą chlebową: — Przygotowałam drugie danie i deser. Patrzę na zegarek, a samochodu nie ma. I nagle wołają, że się zepsuł! A co ja mam do garnka włożyć? Południe już blisko, więc myślę sobie: niech tam! Wrzucam do wody listki, pietruszkę, marchew, pieprz, sól, kostki maggi i gotuję. Potem kroję chleb w kostkę i też do gara. Doprawiam śmietaną i daję im spróbować. Dobrze. A tu wpada kwatermistrz i mówi, że za chwilę będą u nas z Kwatery Głównej. Uprowadził go, że dziś zupa chlebową. „Jaka?” — zapytał, ale pognął dalej. I wie pani co, ta druhna o przepis poprosiła!

lilijka i zupa



chlebową

gromnym nabożeństwem. Potem zarzucali na ramiona plecaki i ginęli gdzieś w kurzu. Wielu z nich — na zawsze.

Wkrótce druhna Helena wraz ze swoim oddziałem wyładowała w Bałej Podlaskiej. Żywność przygotowywali dla wszystkich przechodzących tędy polskich żołnierzy. Któregoś dnia wypatrzyła na drodze brata. Z trzydziestu sześciu członków wojskowej orkiestry pozostało ich tylko sześciu.

W 1942 roku wróciła do Łomży: — Nie wiedziałam, gdzie jestem. Domy pęknięte na pół, całe ulice w gruzach. Udało mi się wyszukać kąt na Starym Rynku, gdzie mieszkało już kilka rodzin; w ciasno-

Druhna Helena nie tylko świetnie gotowała. Zawsze uważała, że harcerstwo to szczególna powinność: wychowywania młodego pokolenia. Według niej — w życiu liczy się najbardziej szacunek dla pracy i drugiego człowieka.

— Kiedyś zaplanowaliśmy placki. Dziewczyny obierają kartofle, a jedna ciągle narzeka, jak to jej tutaj ciężko, ręce ma ciągle brudne, plecy bolą od schylania się nad kotłem. „To co ty robisz w domu?” — pytam, a ona: „Nic. U nas wszystko robi mamusia”. Zde-nerwowałam się: „I ty spokojnie

na to patrzysz?” Cicho się zrobiło. Wreszcie któraś mówi: „Ona nie matki własnej nie uszanuje, tylko na gotowe czeka. Spuściła głowę. A na jesieni dostaje list od jej matki: dziękowała mi za to, że dziecko nauczyłam gotować!”

Pewien druh także nie chciał być gorszy i każdego niemal dnia przychodził do pani Heleny z grubym zeszytem. — Najpierw myślałam, że on kronikę pisze, a ten odciągnął mnie na bok i szeptem pytał, jak się robi kotlety i zupę pomidorową. Zapiisał chyba cały zeszyt! Po latach dowiedziałam się od jego matki, że nawet ciasto potrafi upiec, a kanapki przez niego zrobione sama jadłam.

Uczestniczka spływu kajakowego wpisała się do zeszytu druhny Heleny podczas prawdziwej ulew, kiedy stołówka pod namiotem, to była w strugach deszczu, a szefowa kuchni — jak gdyby nie stało — przygotowywała gorący posiłek. „Krzęta się i narzeka, że guzdrzą się z obieraniem ziemniaków, że dowieźli tłuste żeberka, że komary spokoju nie dają — pisze harcerka i sumuje rymem: nasza szefowa to kucharka wzorowa i choć czasem pokrzykzeł ma ochotę, w rzeczywistości to jest serce złote”.

Przez tych dwadzieścia lat starała się służyć radą i pomocą kolejnym pokoleniom dyżurnych w kuchni. — Ten, kto uważa, że dzisiejsza młodzież jest zła, chyba sam nigdy nie był młody. Przecież każda nauka idzie od dorosłych. Dla niejednego harcerza mogłabym być babcią, a jednak przychodził do mnie, zwierzał się i tak sobie rozmawialiśmy o życiu. Młodość ma swoje prawa. Nie trzeba z nimi walczyć, ale właściwie wykorzystywać.

18 lipca druhna Helena obchodziła rocznicę urodzin. Nie zapomnieli o tym harcerze pewnego obozowego lata, choć ona sama w codziennej krzątaniu byłaby przegapiła tę datę. — Tuż po północy przybiega do mnie któryś i mówi: „Szefowo, z Kwatery Głównej przyjechali; trzeba ich nakarmić, bo prosto z drogi”. — Ubrałam się błyskawicznie, fartuch na siebie i lecę do kuchni. A tu... stoją w dwóch rzędach, sto lat mi śpiewają i kwiaty polne dają. A ja? Ja płaczę.

Druhna Helena przegląda swój pamiętnik prawie każdego dnia. Choć nie przy każdej dedykacji jest data, ona pamięta wszystko doskonale: kajakarzy z Leszna, Jasia i Gliwic, obozowiczów z Chorałwi Bydgoskiej, Rzeszowa, Zielonej Góry i Szczecina, którzy dziękują jej „za wspaniałe obiady, uśmiech, poczucie humoru, matczyną troskę i opiekę, za smacznie i estetycznie przyrządzone posiłki, za podwójne kolacje, a szczególnie za zupę chlebową”. Nie każdy przecież może otrzymać 100-Tytusowy banknot z banku humoru! Nie do każdego po wielu latach harcerze wolała na ulicy: „Dzień dobry, szefowo. Może w czymś pomóc?”

— Nie czuję się sama — mówi druhna Helena. — Przychodzą do mnie prawie codziennie. Moim harcerzom zawdzięczam otrzymanie mieszkania, pomogli mi w przeprowadzce, zapraszają na swoje śluby i wesela, pamiętają o podzieleniu się ze mną opłatkiem i jajkiem. Jak patrzę na ten kącik, to nie mogę leż powstrzymać — pokazuje bogaty zbiór znaczków, plaketek, pamiątek z obozów. Wśród nich podziękowania i dyplomy za wzorowe wypełnianie instruktorskiej służby w czasie harcerskiego lata, za aktywność i zaangażowanie w wychowaniu młodego pokolenia, i wreszcie odznaczenie „Za Zasługi dla ZHP”.

— Nie wstydzą się mnie. Nawet kiedyś jak przyjechała telewizja, zabrali mnie na ulicy do swojej gromadki.

Od 12 lat druhna Helena jest rencistką. Czas dzieli między domowe obowiązki i opiekę nad swoimi zwierzętami. Pies i dwa koty śpią razem i jedzą z jednej miski.

— W życiu ważna jest życzliwość, wzajemne zrozumienie, troska o drugiego człowieka. Tego uczy harcerstwo i tego chciałabym jeszcze nauczyć młodych — dodaje druhna Helena. — Ciepło powinno tkwić w każdym człowieku, nie tylko w kuchni.

JOANNA RADOŃSKA

postaw



WOŁANIE O POMSTĘ DO NIEBA

GABRIELA SZCZĘSNA

rowca nie chciał jej zabrać. Wtedy rzuciła się na drogę przed autobus i tak leżała. Zresztą, takie numery to u niej rzecz normalna.

— Milewska? Ta z kolonii na Wrzosówce? — zastanawia się kobieta siedząca na ławce wśród doniczek chryzantem. — Znam, znam. Bez przerwy z ludźmi się procesuje o byle co. Niezgoda taka, że nie daj Panie Boże. No, tak mówią; ja tam nie mieszkam, to co mnie? Podobno tak jej się porobiło — rysuje palcem kółko na czole — jak ten jej syn umarł.

Soltys Wrzosówki ma pełne ręce roboty w swoim gospodarstwie, a we wsi — właściwie tylko z jedną Milewską.

— Pani, to już się mówić nie chce! — macha ręką. — Po sądach, prokuratorach lata i jeszcze do ga-

chciał przeskoczyć i tak ci się nie uda, w sam środek wpadniesz. Żeby u nas ludzie wadzili się o parę centymetrów przejazdu, ziemia by ugorem stała, a cała Wrzosówka w sądzie!

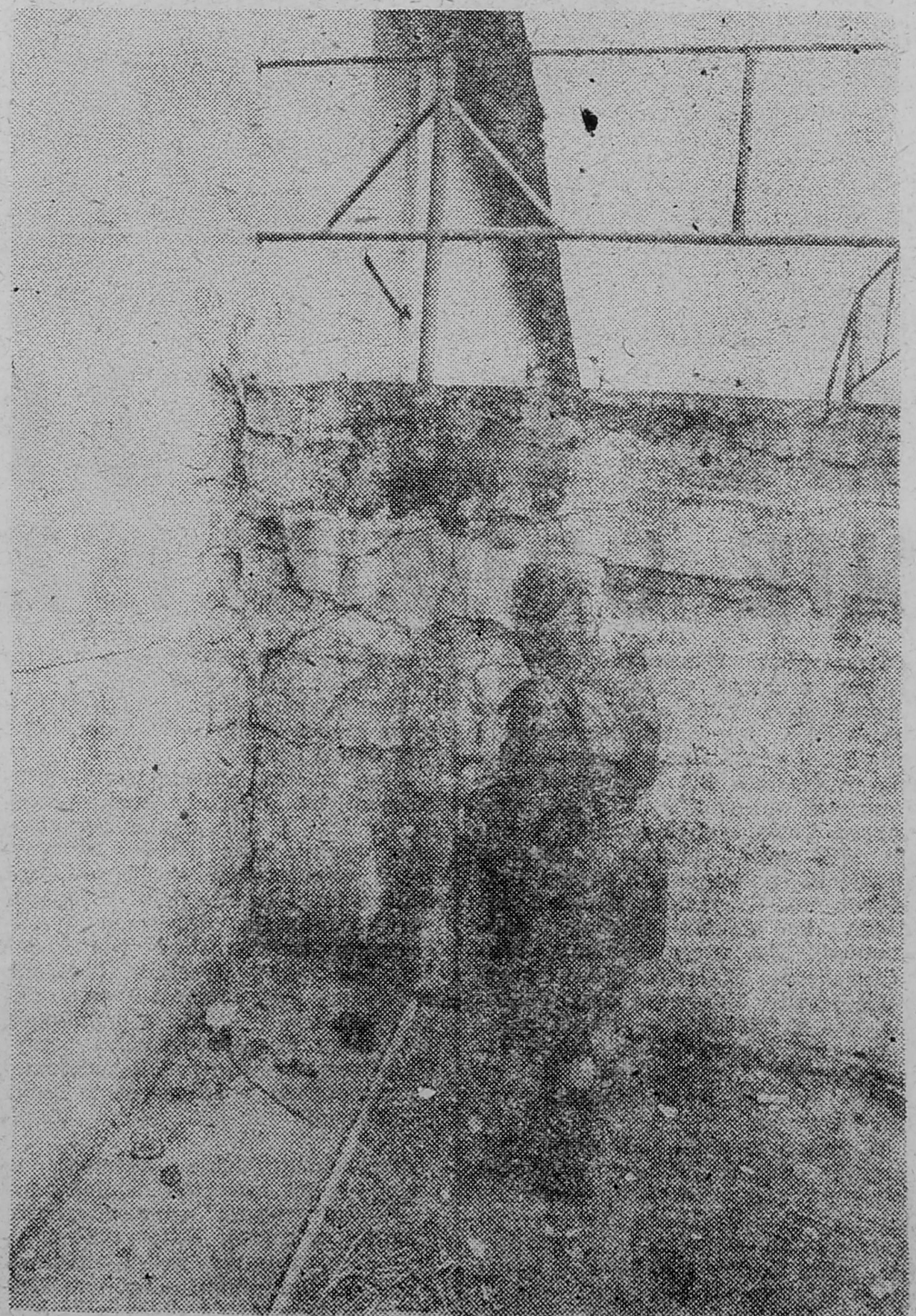
— Nie może żyć spokojnie, żeby się nie procesować. A kiedy widzi, że przegrywa, to płacze — uzupełnia inny mieszkaniec Wrzosówki.

— Powiem prawdę — młody gospodarz przerywa pracę przy naprawie ciągnika. — Ja się jej boję. Nie przychodzi niby do nas, ale wszystkim się we wsi interesuje. Na jednego tu nagada, na tamtego gdzie indziej i zawsze gotowa ludzi skłócić. Plotkami się zajmuje. Ciekawa taka, że no! Ja mam taką metodę: lepiej z mądrym zgubić niż z głupim znaleźć.

— A zna pani takie powiedzenie, które pasuje jak ulał do niej? — charakteryzuje krótko osobę Anny Milewskiej jego kolega. — Pijany przed głupim wlaź na drzewo. My tak robimy, żeby mieć święty spokój.

— Kto jej łubin zniszczył? Ja?! — denerwuje się oskarżony przez Annę Milewską gospodarz. — To ten, co trawę opryskiwał! Przecież wszystkim nam trochę pola zajęchał i nikt po sądach się nie włóczył. Wzięła kombajn, zaorała, a potem wszystko na moje konto!

— O, tam — gospodyni idąca ze sklepu pokazuje mi drzewo na końcu drogi — kiedyś usiadła i ani słowem się nie odzywała. Pytam: „Co ty tak tu pilnujesz, do domu nie idziesz?” Znowu piach na moją miedzę sypią. Zniszczyli wszystko i jeszcze cielaka na moją koniczynę wyganiają!” Zerwała się i poszła. Ja nie widziałam, żeby cudze krowy się u niej pasły, ale może...



zety napisała? Toć nikt jej tu nie krzywdzi ani nie zabija. Sama zwady ze wszystkimi szuka. O byle co się przyczepi. My się już do tego przyzwyczaili; jak jej z tym dobrze, to niech tam! Ale co człowiekowi krwi napsuje, to napsuje.

— Przeleci przez wieś niby ten wiatr — wtrąca siedzący przy stole mężczyzna. — A wie pani, jak to po wichurze: zawsze jakieś spustoszenie zostawi. I z nią tak samo.

— To tak jak z tą kałużą — dodaje sąsiad soltysa. — Tu woda i tu woda; choćbyś nie wiem jak

anonim napisany nieporadnym piśmem na kartce wyrwanej z zeszytu, pełen bezzilności i żalu w swojej treści, donosi „o zbrodniarzach którzy żyją na Wrzosówce [...] jak się zabrali za dom Milewskich to już się tylko została jedna osoba która prowadzi te gospodarstwo i miała zasana chektar ubinu to jej Laskowicz zjeżdżał konny jak ona powiedziała ze to zbrodnia to on powiedział ze to No- waki udała się na posterunek w Lesnej to jeszcze była skrzyżzana [...] najpierw ustalono zgładzić gospodarza a będzie dobrze tak głosiła Borek Zofia [...] i tak zrobili Kozłowski ma obstawę dobro bo za rękę się trzymają z Malinoskiem i Dworzakami jak krzyczał Milewskiej na szosy tu byś leżała taka owaka jak twój syn na ym przystanku żeby nie ten skurczy syn co się kartofle bluzgał na nią i zagrażając jej że zabiją. I to dotego się zano- si jak tam zamieszanie się robi tam zjeżdżony ubin tu Rogoski Paweł całe lato robił jej wielko- szkodę cielicką puszczał po jej gry- ce i po koniczynie teras zrobił wy- godny przejazd po tej koniczynie to marnotrawstwo te Rogi zaleśli po- zapuszczali te swoje ziemie a tej biednej kobiecie tak odbyją zbrodnie za to ze ona powiedziała prawdę na Malinoskich ze on jest wozak platny i nigdy nie uwierzy ze Malinoski dostarcza 140 litry mleka. Polkoski poruszył to sprawę na zebraniu w Piątnicy to Rogi ro- bił to samo jemu co i Milewskiej i mówią ze nad domem Polkoskiego to już kraczę wrony [...] niewin- na krew woła o pomstę do Boga

WSIADŁA NA KONIA, OBRAZ MATKI BOSKIEJ NA GŁOWIE POSTAWIŁA I TAK JEŹDZIŁA PO WSI

prosze bardzo zwinąć Dworzaków Kozłowski Malinoskiego Józefa Ro- goskiego Pawła [...] dopomóż re- dakcji zbrodnie wykryć”.

Na jej nazwisko reagują tutaj wszyscy. Komendant posterunku MO do jednej teczki składa skargi mieszkanców wsi, do drugiej — po- wracające z prokuratury pisma An- ny Milewskiej, pokrzywdzonej i dręczonej przez swoich współzimo- ków. W Urzędzie Gminy znana jest z silnego głosu, wiecznego szukania dziury w moście, a w Społecznej Komisji Pojednawczej — z uporu i niezdyscyplinowania. Protokół z 8 sier- pnia br. kończy się stwierdzeniem: „Postępowanie nie doprowadziło do pojednania, gdyż Ob. Milewska An- na zażądała wyrównania krzywdy za pożyczone pustaki (600 szt.) w tym 100 szt. zwrotu, natomiast Ob. Dworzak Antoni stwierdził, że sy- nowie pomagali i pracowali na polu. Ponadto umowa pomiędzy stronami była dobrowolna i usna bez usta- lenia konkretnych danych. W wyni- ku tego nie można było pogodzić zważionych stron”.

— Z tym łubinem — mówi ko- mendant posterunku MO — sam diabeł by nie doszedł. Chyba mie- siąc temu przyszła do nas i mówi, że Laskowicz zjeżdżał jej ciągni- kiem całe pole. Zakontraktowała 45 arów, miała zdać 12 kwintali. Py- tam, jakiej żąda satysfakcji po tej szkodzi, a ona: „Zebrałam tylko dwa, to niech mnie Laskowicz za te 10 zapłaci”. Wycenić strat też po- dobno nie mogli, bo ponoć zebrała łubin i szybko zaorała całe pole. Padło więc na Laskowicza. Ale chyba nie jeździł po tym łubinie w kółko?

Drogowskaz przy szosie infor- muje, że do Wrzosówki zaled- wie 2 kilometry; licznik wy- bija ponad 5. Wierzyby prowadzą prawie do samej wsi, która liczy 58 gospodarstw i 270 mieszkańców. Prawie 30 proc. rolników specjali- zuje się w uprawie ziemniaka sa- dzeniaka. W Urzędzie Gminy Wrzo- sówkę oceniają jako wieś zgodną i solidarną.

— Nie wierzę — mówi sekretarz Urzędu w Lesnej — że gdyby ko- muś działo się krzywda, ci ludzie staliby spokojnie z założonymi rękami. A tej kobiety nie bronią; przychodzą się na nią skarżyć.

Anna Milewska ma 57 lat. Jest wdowa. W Lesnej wiedzą jeszcze, że jeden syn zmarł niedawno, a drugi mieszka na Śląsku. I pamię- tają pewne śmieszne zdarzenie: kiedy przepełniony autobus do Łom- ży zajęchał na przystanek, Milewska pierwsza podbiegła do drzwi. Kie-

9 października br. Prokuratura Rejonowa w Łomży otrzyma- ła skargę Anny Milewskiej: „Skargę swą motywuję tym że Ro- goski Paweł przez całe lato puszczał cielickę samopas zwracałam się kilka krotnie aby niepas na moim z Polkoskiem Bolesławem ras upalowałim te krowy proszę przestu- chać Polkoskiego jest On mojem sąsiadem i sottysem a On swoje zaleśli a na naszym chcę paść i z mojej koniczyny zrobił sobie wy- godny przejazd jak ja powiedziałam gdzie jeździsz to On powiedział ty stara kurwo niemam tu kamie- nia bo byś niemiała ani jednego zęba i się wygazał i jak jeździł tak jeździ Ja gospodarstwo prowa- dzę sama jest mi bardzo cieszko”.

14 października br.: Skargę swo- motywuję tym że Rogoski Paweł robi z mojej koniczyny sobie wy- godny przejazd i wygaza się ze mie żywcem spali w tej biedzie [...] i co zechcem to robi i włos nam z głowy nie spadnie tyle narobisz Laskowiczu co Ci ubin potuk a to zato coś pisala podanie o te mleko ze Malinoski i Sakoska do- starczają mleko a twojego niechcieli i mósłataś nosić sama [...] ale to kary godne Sakoska wozi czterdzie- ści litry wozak platni Malinoski swoje tesz zjechał zwiąski zawodo- we z Piątnicy zrobili tako jako wziętę i powiedzieli ze On jest Partyjny i mósł być wygodny i powiedzieli ze on dostarcza 140 li- try dzenie ja powiedziałam ze te krowy chodzą tu pod moim oknem proszę komisynie wydować bo ja wto nieuwaga i dlatego jak ja napisa- lam do skupu mleka w Piątnicy po- danie ze Malinoski jest platny to Sosko Michał przyjechał do soltysa we Wrzosówce i powiedział ze to niejest prawda i wypowiadał się ta Milewska taka a to taka jeszcze mie obczerniał jest tu domów cztery co dowozi [...] nie zadna ko- lonia [...] bo od wyzwolenia jeste- śmy pod jednym soltysem i po wszistkieg zlewniach jest platny od trzech kilometrów a unas to niema dwa. Więc donoszę do Prokuratorów te wszistke wygruszki i krzywdy jako ja ponoszę przeciesz to jest moja własność ja płacę zato podat- ki a tam mie cała rodzina Rogo- skich chco zniszczyć”.

Dom Anny Milewskiej ukryty jest w lesie. Droga wiosną i jesienią, nawet koło mostu na strudze, przy- sparza mieszkańcom utrapień, a większość z nich ma tutaj swoje pola i łąki. Kolonię stanowią trzy posesje. Środkowa zmieni się nie- bawem nie do poznania: rosną mu- ry z białej cegły. W oknach domu Anny Milewskiej wiszą żółte zasło- ny. Na parapecie czerwienią się kwiaty. Dziurawe drzwi zamknięte na sporą kłódkę. Przywiązany do słupa pies skomli, okracając się razem z łańcuchem, obok rozwalo- nej bramy kilka rachitycznych drze- wek i stadko gęsi sąsiada.

— Jakie tam ona ma gospodar- stwo! — mówi sąsiad machając ręką. — Widzi pani sama, jak to wy- gląda. Na syna wszystko przekazała. Kiedyś miała krowę i konia. Cięż- ko ją zastać. Raz mówi, że już nigdy nie wróci, to naraz przyjeź- dza. Posiedzi z tydzień, ze dwa i znowu leci. Ostatnio pytała się mnie, jak do tych Katowic doje- chać, bo do syna się wybierała. Wszystko jej wytłumaczyłem i po- jechała.

— My się tam nie wtrącamy do jej spraw. Lepiej z takimi z dale- ka — uzupełnia drugi gospodarz.

— A, numery to ona robiła tak- kie, że... — śmieje się starszy. — Zresztą ten syn, co umarł, też miał nie wszystko w porządku w głowie. A jej się jeszcze po tej śmierci po- gorszyło. Raz, pamiętam, wsiadła na konia, obraz Matki Boskiej na gło- wie postawiła i tak jeździła po wsi.

— Z nią już nic się nie da zro- bić. Rozumu nikt nie zmieni — do- daje sąsiad.

Anna Milewska wyjechała na Śląsk. Kiedy wróci, być może znowu zasiądzie do pisania kolejnego „a- nonimu” do redakcji, pojedzie do prokuratury tą samą drogą, którą kiedyś w wielkiej zgodzie i z po- święceniem budowali mieszkańcy Wrzosówki. W gminie słyną z czy- nów społecznych

GABRIELA SZCZĘSNA

Imiona i nazwiska osób oraz nazwy miejscowości zostały zmie- nione.

5

KONTAKTY
1986-11-16

interwencje



W czerwcu 1956 roku skończył studia. Jeszcze nie wysechł atrament na dyplomie historyka sztuki, gdy przyjechał do Ciechanowca. Został ruiny i senną atmosferę zniszczonego wojną miasteczka. O pracę nie było łatwo. Zaczynał jako referent planowania w mleczarni.

Po pół roku przeszedł do oświaty. Uczył wychowania plastycznego w ciechanowskiej szkole. Nie mógł patrzeć na niszczące zabytki architektury wiejskiej. Poszedł kiedyś na sesję Miejskiej Rady Narodowej i zaproponował powołanie towarzystwa społeczno-kulturalnego w miasteczku.

Propozycję przyjęto. Został sekretarzem towarzystwa. Na którymś z zebranych wyłuszczył swoją sprawę. Wielokrotnie odwiedzał zaniedbany park w pobliżu pałacu Starzyńskich. Według niego — ruiny należały się do renowacji. Towarzystwo Miłośników Ciechanowca zaproponowało pomysł wyremontowania pałacu i umieszczenia w nim muzeum. Dziś trudno już ustalić, który problem w działaniach Towarzystwa traktowano priorytetowo — pałac czy muzeum.

Owładnięty myślą gromadzenia zbiorów — wspólnie z dr. Pawłem Olszewskim — przemierzał pobliskie wsie. Stary motocykl ułatwiał zadanie. W czasie gdy doktor chodził od domu do domu badając domowników, on penetrował strychy. Soltyś wiedzieli o planowanym muzeum rolnictwa; często sami, przyjeżdżając furmankami na jarmark, przywozili wygrzebane po domach

podłogi. Cała społeczność miasteczka nie odmówiła pomocy; także ofiarodawcy eksponatów w większości zadowalali się umieszczeniem przy wystawionym przedmiocie swojego nazwiska.

Albo Muzeum nie było odizolowane od kraju. U zarania swojego istnienia nawiązało kontakty z Katedrą Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego, z Warszawską ASP i SGGW. Z Krakowa nadeszły dwie poważne darowizny. Rodzina Augustynowiczów-Ciecierskich przekazała 10 teczek dokumentów (ponad 1000 pozycji) z archiwum podlaskiego rodu Ciecierskich. Rodzina prof. Ignacego Piętkowskiego (ASP Kraków) ofiarowała zestaw mebli i kilka obrazów po zmarłym artyście.

W lipcu 1964 roku, w obecności około 1000 osób, dokonano uroczystego otwarcia ekspozycji magazynowej zbiorów (było wtedy około 500 eksponatów) w budynku starej remizy. Dwa razy w tygodniu ekspozycję udostępniano zwiedzającym. Rozmach prac przy organizacji Muzeum zrodził propozycję upaństwowienia placówki. W maju 1967 roku prezydium MRN-u rozpatrzyło pierwsze wnioski w tej sprawie. Rok później skończył się pierwszy etap organizacji Muzeum. Członkowie

pleksem murów pseudoobronnych oraz znaczną częścią terenu władła lecznica weterynaryjna. Dawny sąd był własnością Spółdzielni Mleczarskiej, ta jednak najwcześniej, bo już w 1969 roku, przekazała go Muzeum. W tym samym roku przejęto budynek powozowni; jego remont trwał dwa lata. Rozpoczęło się grodzienie parku, uzupełnianie drzewi krzewów. Do roku 1971 zasadzono ich 6000 sztuk. W tym czasie władze miejskie wykupiły od prywatnego właściciela zabytkowy młyn wodny wraz z przyległym terenem. Prof. Ignacy Tłoczek opracował projekty zabudowy skansenu w dwu zespołach. Do parku został przeniesiony drewniany młyn z Uszy, lamus XVIII-wieczny z Rudki, wiatrak z Niemcy Nowych oraz chata chłopka ze wsi Żary. W tym czasie trwały prace w starej powozowni, która przystosowywano na salę wystawową transportu wiejskiego. W 1976 roku pracownia projektowa PKZ-ów w Białymstoku opracowała projekt remontu i rozbudowy zabytkowego kompleksu budynków użytkownych poprzednio przez lecznicę weterynaryjną. Dawne stajnie przystosowano na siedzibę Muzeum Weterynarii, oficynę — na pomieszczenie biblioteki rolniczej, ekspozycję monograficzną Krzysztofa Kluka, pracownię, dwa mieszkania pra-

zowiecko-Podlaskim — żyje nie tylko w świadomości najbliższego środowiska. Miasto zawsze korzystało z dorobku naukowego i dydaktycznego placówki. Stąd — z siedziby Towarzystwa Miłośników Ciechanowca — wychodziły też inicjatywy społeczne. W gabinecie Kazimierza Uszyńskiego, na poczesnym miejscu, spoczywa wizytówka z pałacu. Przejrzał do potyczki z Pińczowem. Przegrał nieznacznie. Dziś, po dwunastu latach od turnieju, gdy wspomniany tamte czasy, dyrektor mówi o nieuczciwości przeciwników i chwali społeczność miasteczka. Muzeum traktuje jak całość silnie związaną z Ciechanowcem. Nie da się ukryć, że w wielu umysłach w kraju i za granicą Ciechanowiec utożsamia się tylko z Muzeum.

Wiele imprez o zasięgu ogólnokrajowym związało się dzięki niemu na stałe z Ciechanowcem. Należą do nich m.in. Agrofilmowa Wiosna. Ze skromnej regionalnej imprezy rozrosła się ona do liczącego się w kraju wydarzenia. Organizowana jest pod patronatem Ministerstwa Rolnictwa i co roku gromadzi tu ludzi nauki i praktyki rolniczej, twórców i popularyzatorów kultury, rzeczników oświaty i postępu w środowisku wiejskim.

Od 1973 — co najmniej raz w roku — odbywają się w Muzeum spotkania artystów profesjonalistów. Kilkuosobowe grupy malarzy, grafików, rzeźbiarzy tworzą dzieła powstające pod wpływem bezpośredniego kontaktu twórców z relikami tradycji kultury ludowej i otaczającym ich krajobrazem. W plenerach uczestniczą nie tylko plastycy z Polski, lecz także z Czechosłowacji, Węgier, Bulgarii, NRD, Związku Radzieckiego. Wystawy poplenerowe eksponuje się w salach Muzeum.

Można tu było również obejrzeć unikatowe wystawy sztuki gotyckiej i renesansowej. Zbiory wypożyczano z galerii Muzeum Narodowego. Kazimierz Uszyński potrafił przekonać prof. Stanisława Lorenza o potrzebie takich wystaw w Ciechanowcu. Często zdejmowano obrazy ze stałych wystaw Muzeum Narodowego, by pokazać je w ciechanowieckim pałacyku.

Od lat organizuje się kursy społecznych opiekunów zabytków. Przyjeżdża wówczas młodzież z całego kraju, by poznać techniki konserwacji zabytków kultury materialnej, poobcować z historią. Wielu stara się o ponowne uczestnictwo w zajęciach ciechanowieckiej wszechnicy. Młodzież wyjeżdża z miasteczka zauroczona bogactwem polskiej kultury wiejskiej.

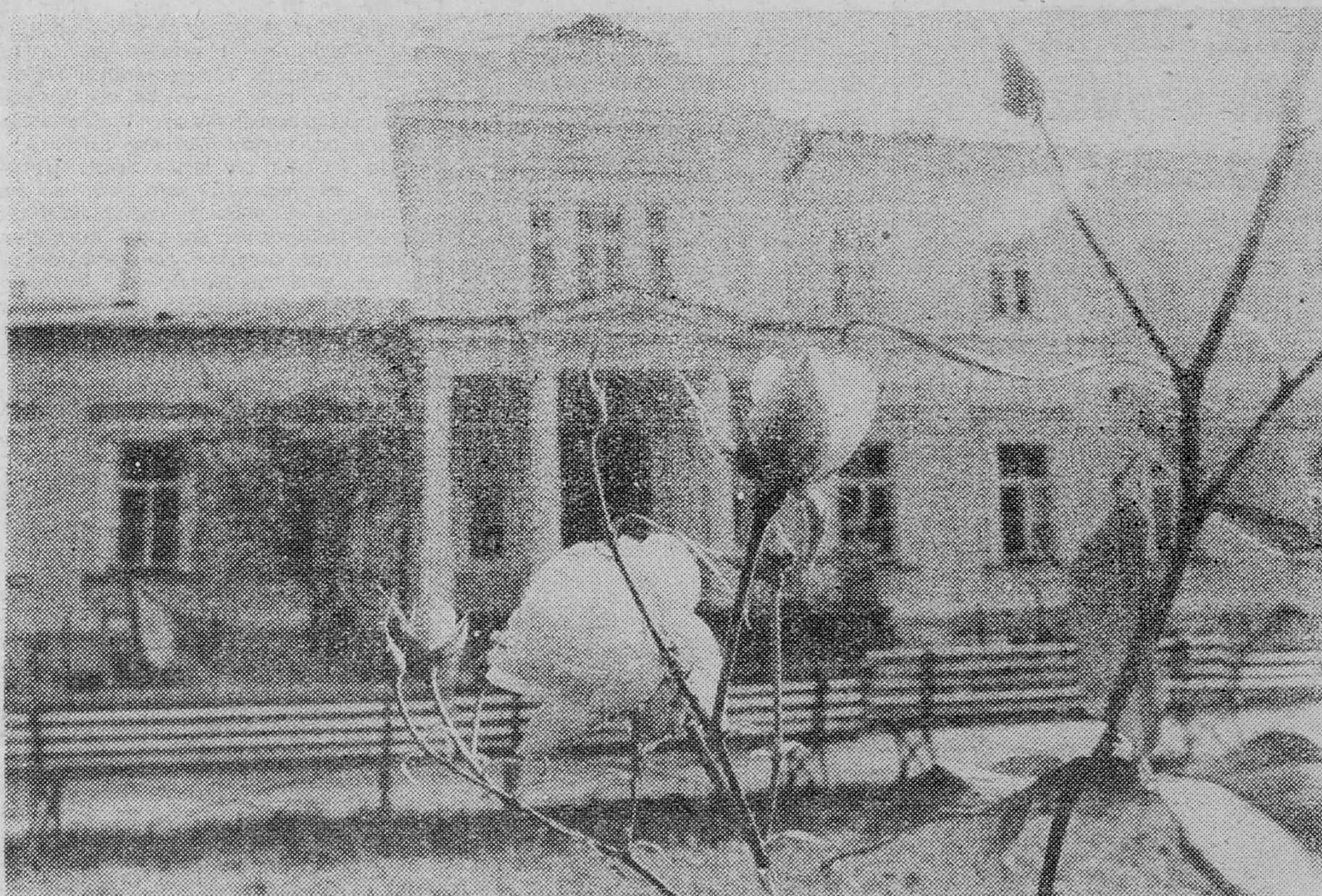
Muzeum dało szansę wyjścia miastu z zaścianka, rozślawiło jego imię. Czy znaczy to jednak, że placówka rozwija się bez przeszkód, że osiągnęła już swój pułap możliwości? Jak wszędzie — największym problemem są mieszkania. To one właśnie warunkują pozyskanie kadry specjalistów. Dziś na drzwiach dworku widnieje wywieszka, informująca o tym, że Muzeum zatrudni absolwentów wydziałów humanistycznych, przyrodniczych i technicznych. Niestety, dyrektor nie może zagwarantować mieszkań. Dwa ostatnie, którymi dysponował, przejęły władze miasta. Na nie zdali się protesty. Wszystko odbyło się w majestacie prawa, choć przeciw interesom społecznym.

Eugeniusz Wawryntowicz, I sekretarz KMiG PZPR, motywuje to koniecznością zapewnienia miastu specjalistów budowlanych, którzy bez mieszkań do Ciechanowca nie przyjadą.

W trakcie uroczystego posiedzenia Rady Muzealnej, które odbyło się w październiku w związku z 30-leciem społecznikowskiej pracy Kazimierza Uszyńskiego, odniosłem wrażenie, że Muzeum i jego działalność bardziej zauważane są w Ministerstwie Kultury i Sztuki niż przez władze gminy. Trafnie zauważyła wiceminister Krystyna Marszałek-Młyniec, że takiej placówki, wykraczającej poza ramy działalności muzealnej, emanującej na cały region, zazdrości Ciechanowcowi cały kraj. I gdyby ogłosić sprzedaż ciechanowieckiego Muzeum, w kolejce — ustawiłoby się kilkadziesiąt miast. Sądzę, że kupiłby obiekt razem z dyrektorem, bowiem jego życia nie sposób odzielić od pasji, której się poświęcił.

KRZYSZTOF DWORNICZAK

ŻYCIA



OD PASJI NIE ODDZIELISZ

starościa. Bywało, że rano pod remizą w Ciechanowcu znaleźć można było ciekawe eksponaty, pozostawione przez nieznaną ofiarodawców.

Z organizacją społecznego muzeum nie było trudności. Na sesji MRN-u w Ciechanowcu 26 kwietnia 1962 roku przyjęto uchwałę zobowiązującą administrację miasta do podjęcia starań o odbudowę pałacu i przeznaczenie go w części na Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka.

Gdy w 1964 roku — na zlecenie wojewódzkiego konserwatora zabytków w Białymstoku — Warszawski Oddział PKZ-ów rozpoczął odbudowę pałacu, przejął obiekt prawie całkowicie odgruzowany przez Towarzystwo Miłośników Ciechanowca. Wystosowano pismo do Ministerstwa Kultury i Sztuki o zgodę na stworzenie społecznego muzeum. Pozytywna odpowiedź wpłynęła 17 stycznia 1963 r. W marcu Towarzystwo uzyskało zgodę Muzeum Okręgowego w Białymstoku na pomoc merytoryczną. Tak pokrótce wygląda „muzealny” początek życia ciurysa Kazimierza Uszyńskiego, wpleciony w historię Ciechanowca. Od pierwszych dni istnienia Muzeum był nie tyle jego dyrektorem, co duchowym opiekunem.

Wielu było sceptyków; bo jak ważyć się na tworzenie muzeum, gdy kłosa na zakup zbiorów pusta, a budynek istnieje tylko w zarysie konturów ruin? Ciechanowiec jednak

Towarzystwa Miłośników Ciechanowca z coraz większym trudem dawali sobie radę z gromadzeniem muzealiów, ich zabezpieczeniem i udostępnianiem. Skala przedsięwzięcia przerastała już możliwości społecznych opiekunów. Z ulgą więc zarząd Towarzystwa przyjął w lipcu 1968 roku uchwałę MRN-u o przejęciu społecznego Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka i nadaniu mu statusu placówki państwowej. Za teren działania Muzeum uznano Białostoczyznę i przyległe tereny Mazowsza oraz Podlasia, zaś za siedzibę — zespół pałacowo-parkowy w Ciechanowcu. Finansowanie placówki przejęła na siebie Miejska Rada Narodowa w Ciechanowcu.

W końcu grudnia 1969 roku warszawski oddział PKZ-ów przekazał pałac po remoncie. Rozpoczęła się batalia o odzyskanie terenu po podworskich obiektach. Powozownię, młyn wodny i stróżówkę leśniczego użytkowali prywatni właściciele; stajniami i oficyną z kom-

cownie, a podpiwniczenie dla celów malej gastronomii.

O rozwoju ciechanowieckiego Muzeum można w nieskończoność. Czym jest ono dzisiaj?

Poza trzema obowiązkami statutowymi, tzn. gromadzeniem, opracowywaniem i udostępnianiem zbiorów, spełnia rolę ośrodka retransmisji współczesnej myśli rolniczej. Służyć temu będzie m.in. listopadowa konferencja, dotycząca współczesnego budownictwa wiejskiego. Bo, jak mówi dyrektor Muzeum, największy czas zastąpić w wiejskiej architekturze projekty z przedmieść Warszawy czy Białegostoku pomysłami przystosowanymi do wiejskiego krajobrazu, a jednocześnie funkcjonalnymi.

Ciechanowieckie Muzeum ze swoimi ośmioma działaniami tematycznymi: etnograficznym, techniki rolniczej, historyczno-artystycznym, uprawy roślin, hodowli zwierząt, zielarskim, odrębnym Muzeum Weterynarii i skansenem Ma-



mój pierwszy dzień wolności

nia Niemców i opanowania Łomży. Każdej grupie peowiaków zostały określone zadania. Zaraz po usunięciu Niemców kobiety miały zajmować urzędy i magazyny, po czym natychmiast przystąpić do spisu inwentarza. Męskie oddziały miały opanować dworzec i elektrownię, a także pilnować porządku w mieście. Komendantem placu był Leon Kaliwoda.

W naszej rodzinie było pięciu peowiaków: cztery siostry i brat, toteż Leon często do nas zachodził, bo wystarczyło, że każdy z nas zawiadomił 10 osób, a rozkaz dotarł do 50 członków organizacji. 10 listopada 1918 r. Leon przyszedł do nas z zawiadomieniem, że nazajutrz o godzinie 15.00 zaczynamy rozbrajanie Niemców.



1 LISTOPADA 1918 W ŁOMŻY

DZIEŃ 11 LISTOPADA 1918 r., najdonioślejszy i najważniejszy w moim życiu, pamiętam tak, że mogę go odtworzyć niemal godzinę po godzinie, chociaż minęło tyle lat.

O 7.00 rano przyszedł do mnie dwie uczennice, które przygotowywały do szkoły średniej. Po lekcji powiedziałam im, by zawiadomiły inne, niech nie wychodzą z domu. Następnie zjadłam skromne śniadanie (czarna kawa z palonych żołędzi, słodzona sacharyną, i kawałek gliniastego, gorzkiego, razowego chleba; do zjaty przed zmieleniem Niemcy kazali dodawać jęczmień, groch, peluszkę, a nawet kasztany, a zamiast otrębami, posypywali chleb trocinami), ubrałam się w — niedawno sprawiony za własne pieniądze — kostium w kształcie koniuszka, z granatowego sukna, obszyty futerkiem, na głowę włożyłam konfederatkę i szybko udałam się na cmentarz. Piękną aleją lipową zdałam do grobu dziadka, Józefa Dłużniewskiego, powstańca z 1863 r., który 11 lat spędził na Syberii. Miał

już 45 lat, gdy poszedł do powstania, zostawiając żonę z czworgiem małych dzieci i przy nadziei (piąte dziecko — moja matka — urodziło się 3 maja 1863 r.), a więc nie był młodziekiem żadnym przysług. Dziadek stanowił dla nas wzór Polaka-obywatela i patriotę. Wstałam z klęczek, żegnając dziadka powtarzaniem w myśli wierszem poety legionowego, Józefa Mączki: „Starym ojców naszych szlakiem przez krew idziem ku wolności...”

Po wyjściu z cmentarza odwiedziłam kilka osób z POW-u, by upewnić się, czy wszystko gotowe i czy nie ma nowych rozkazów. Zasłałam też na pensję Marii Korzeniowskiej, gdzie pracowały jako nauczycielki dwie moje siostry. Młodzież wcześniej zakończyła lekcje, by bezpiecznie wrócić do domu.

Zbliżała się godzina 15.00. Jedną z siostr dyżurowała w gmachu b. gimnazjum żeńskiego (dziś Liceum Ogólnokształcące), gdzie mieścił się Kreisamt, druga na poczcie. Czekały, aż peowcy usuną stamtąd

Niemców, by przeprowadzić spis inwentarza i dopilnować mienia. Ja z kilkoma koleżankami miałam patrolować ul. Wesołą i przyległe oraz nieść pomoc sanitarną; na noc wyznaczono mi dyżur w restauracji Dickanna przy rogu pl. Kościuszki i ul. Rządowej.

Początkowo rozbrojenie przebiegało spokojnie. Komitet Obywatelski prowadził pertraktacje z gubernatorem. Niemcy — zdeorientowani i przynębieni klęską — nie stawiali oporu. O godzinie 16.00, gdy Komitet opuszczał gubernatorstwo, rozległy się strzały: Niemcy ostrzelali zajęty przez POW gmach Feldpolizei. Wtedy to kula niemiecka trafiła Leona Kaliwodę, przebijając szyję. Leon padł na bruk. Wynieśliśmy go do bramy. Nie dawał znaku życia. W najbliższej suterenie było tylko jedno łóżko, zajęte przez chorą staruszkę. Położyliśmy nasze płaszcze na podłodze i na nich ułożyliśmy Leona. Wysłaliśmy łączniczkę po lekarza na ul. Wiejską 10, gdzie mieszkał doktor Markiewicz. Natychmiast pospieszył z pomocą. Przykłąknął przy Leonie, wziął go za rękę i badał puls. Po długiej chwili wyjął z kieszeni latarkę elektryczną i zaświecił w oczy Leona. Po raz ostatni spojrzeliśmy w jego niebieskie oczy i rozszerzone źrenice, które nie zareagowały na ostre światło latarki. „Nie żyje” — powiedział lekarz i opuścił izbę.

Staliśmy jak rażeni gromem. Leon nie żyje? To być nie może! Przed chwilą był z nami, kierował akcją z talentem doświadczonego i wymagającego dowódcy. Ale nie mogliśmy długo pozostać w tej mrocznej suterenie. Leon już nic nie mógł powiedzieć, ale my wszyscy znaliśmy jego rozkazy i każdy wiedział, co ma robić.

LOTEM BŁYSKAWICY rozszła się żałobna wieść po mieście. Szłam ulicą Wiejską i spotkałam Adelę Jarnuszkiewiczową, działaczkę POW-u, z 15-letnią córką. Halinka ledwo trzymała się na nogach i szła podtrzymywana przez matkę. Pokochała Leona pierwszą, młodzieńczą i gorącą miłością.

Dobrzełam wreszcie na wyznaczony mi posterunek. W restauracji zarządziłam zaparzenie kawy zbożowej oraz zagotowanie kilku dużych imbryków wody i trzymanie ich na płycie, by w każdej chwili można było podać gorący napój patrolom POW-u. Przyniesiono mi kilka bochenków razowego chleba, który pokroiłam na porcje. Nic więcej nie mogłam przygotować. Wprawdzie byli w Łomży niemieckie magazyny z żywnością, ale rozkaz: „Pilnować mienia społecznego, nie pozwolić na żadne naruszenie istniejącego stanu” — nawet nie dopuszczał do głowy myśli, aby zażądać wydania czegokolwiek z tych zapasów.

Niedługo zaczęły przychodzić pierwsze patrole: chłopcy z karabinami zdobytymi na Niemcach, z opaskami biało-czerwonymi na rękawach. Witaliśmy się radośnie. Przez okna, w świetle latarni, widzieliśmy nie kończący się szereg wozów naladowanych dobytkiem, byle jak związaną w pośpiechu pościelą, z kwiczącymi w klatkach prosiakami lub gęgającymi gęsiami. Niemcy wywozili swoje rodziny i zrabowane rzeczy. Ale nikt nie próbował odbierać im tego. Peowicy pilnowali, by ewakuacja przebiegała sprawnie i by nie dopuścić do żadnych aktów zemsty ze strony ludności.

Przepięniała nas radość, że oto powstaje na naszych oczach wymarzona, niepodległa Polska, a na dnię serca — dotkliwy ból, że Leon tego nie widzi.

Halinka Jarnuszkiewiczówna stała się opanować rozpacz po śmierci Leona. Z zapalem oddała się pracy w harcerstwie i szkole. Trwało to do połowy stycznia 1919 r. Któregoś dnia wyjechała z szuflady biurka wuja Jana Kraszewskiego (członka POW-u) rewolwer i na grobie Leona strzeliła sobie w serce. Trumnę z jej zwłokami złożono w grobie rodziny Kraszewskich, gdyż proboszcz nie zezwolił na pochowanie jej obok Leona. W nocy peowicy przenieśli trumnę obok Leona, ale nie zrobili grobu. Przez całe 20-lecie międzywojenne nie było żadnego śladu, dopiero po drugiej wojnie światowej położono tam tablicę z napisem „S.p. Halinka Jarnuszkiewicz”.

JÓZEFA GRZYMKOWSKA-KLEINDIENSTOWA

dziękuję



CZYM JEST SZCZĘŚCIE? Myślę, że szczęściem można nazwać spełnienie najwyższych i najgorętszych marzeń. Jako uczennica polskiej prywatnej szkoły średniej w Łomży należałam do kół młodzieży niepodległościowo-postępowej. Marzyliśmy o tym, by Polska odzyskała niepodległość i żeby zapanowała w niej sprawiedliwość społeczna. O ten dzień walczyli ci, co na rozkaz naczelnika Tadeusza Kościuszki szli przyspieszając: „Oj ostre, oj ostre, oj ostre kosy nasze”. I ci, co pod wodzą generała Henryka Dąbrowskiego przemierzali świat idąc „z ziemi włoskiej do Polski”. I ci, co na wezwanie Piotra Wysockiego ginęli w Olszynie Grochowskiej, pod Ostrołęką, Iganiami. I ci, co w 1848 r. pod wodzą Ludwika Mierosławskiego nawoływali: „Do broni, ludy, powstańmy wraz i bratnią sobie podajmy dłoń”. I ci, co w 1863 r. szli w bój zagrzewani pieśnią: „Hej, gotuj broń i kule bij głęboko o ojców grób”. I ci, co w 1905 r. śpiewali na ulicach Warszawy, Łodzi i wielu innych miast: „Nasz sztandar płynie ponad trony”. I ci, co 6 sierpnia 1914 r. z Pierwszą Kadrową szli przekonani, że „Z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć”.

I dzień ten nadszedł. Tak opisuje go Władysław Swiderski w swej książce „Łomża” z 1925 r., wydanej nakładem autora, a drukowanej u Jana Wejmera w Łomży: „W początkach listopada 1918 r. do miejscowego społeczeństwa zaczęły przenikać uporczywe pogłoski o przegranej przez Niemców wojnie. W wojsku dyscyplina rozluźniła się i zaczęły się tworzyć rady żołnierskie [...]”.

Dzień rozbrojenia Niemców naznaczony został na 11 listopada. Już w wigilię tego dnia dał się zauważyć tajemniczy ruch w mieście. Z okolicznych wsi i miasteczek zaczęli napływać członkowie POW niosący broń ukrytą i zapasy żywności. Zbrojne obsadzenie placówek i posterunków wojskowych miało odbyć się 11 listopada o godzinie trzeciej. Gotując się do czynnego wystąpienia komenda POW zorganizowała Komitet Obywatelski, do którego zostali powołani: St. Kurjusz, dr Czarnecki, Fr. Hryniewicz, St. Wysoczyński, J. Stojnicki, Władysław Swiderski. Po naradzie w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim postanowili oni, łącznie z powiatowym komendantem POW, Konradem Leśniewskim, udać się do gubernatora niemieckiego z propozycją złożenia broni i opuszczenia miasta przez wojsko. W czasie pertraktacji wybuchła strzelanina i zaczęło się rozbrajanie Niemców. Gubernator pod wrażeniem wypadków zgodził się na złożenie broni, z tym jednak warunkiem, że jedna kompania kwaterującego wówczas w Łomży batalionu Soldau zachowa karabiny i jako eskorta odprowadzi do Prus urzędników niemieckich i ich rodziny”.

POLSKA ORGANIZACJA WOJSKOWA nasiliła swoją działalność w drugiej połowie 1917 r., kiedy to Legiony odmówiły złożenia przysięgi na wierność cesarzowi niemieckiemu.

POW w Łomży miał szerokie pole działania: pomoc legionistom w ucieczkach z obozu, szkolenie bojowe młodzieży, oddziaływanie na opinię publiczną w duchu niepodległościowym. Warto przypomnieć, jak przeciwstawiał się dążeniom Niemców do poboru rekruta z Polski: 5 listopada 1916 r. Niemcy i Austro-węgry ogłosili „niepodległość Polski”. Nikogo z Polaków ten akt nie ucieszył, wiedzieliśmy bowiem, że zabójcom chodziło tylko o „legalny” pobór. Już 8 listopada 1916 Besseler (generał-gubernator okupowanej przez Niemców części Królestwa Polskiego) i Kuk (representant okupacji austriackiej) wydali odezwę nawołującą Polaków do wstępowania do „polskich sił zbrojnych”, obiecując każdemu ochotnikowi 30 marek. Peowicy natychmiast ułożyli piosenkę: „Wyszedł rozkaz Besselera, / wyszedł rozkaz Kuka, / idźcie chłopcy na werbunek, / dreissig marek sztuka”. Piosenka ta rozeszła się prędzej niż najlepszy przebój, chociaż nie było radia.

Im gorzej wiodło się Niemcom na froncie, tym bardziej rosły nasze nadzieje i tym intensywniejsze były przygotowania do zbrojnego wystąpienia. Komenda POW-u opracowała dokładny plan rozbroje-

kontakty
kontaktów

Zwracam się z uprzejmą prośbą o pomoc w zakupie przydziałowego opalu na rok 1986/87.

Od 7 lat razem z żoną mieszkamy u córki, Alicji Sienickiej. Oboje jesteśmy rencistami I grupy inwalidzkiej. Ja mam 87 lat, a żona 81. Nasza córka, która się nami opiekuje, jest w wieku przedemerytalnym i też choruje. Od lipca br. usiłuje kupić węgiel i udało jej się nabyć dopiero jedną tonę, a to dlatego, że GS niewłaściwie załatwia tę sprawę. A oto przykład: część mieszkańców naszego miasta została zaopatrzona w opał w niedzielę jednego z letnich miesięcy. Samochody GS-u wozili wówczas koks w ilości 3-4 tony dla jednego odbiorcy. Następnego dnia (w poniedziałek) na placu GS-u znajdowało się około 7 ton koksu, a pracownicy spółdzielni oświadczyli, że rozprowadzany jest opał za ubiegły rok. Kolejny przykład: 5 października, w niedzielę, koks był znowu wożony bezpośrednio z wagonów do mieszkań, ale spora jego część została zmagazynowana na placu GS-u. Następnego dnia (w poniedziałek) pracownicy spółdzielni poinformowali, iż z polecenia prezesa dla mieszkańców miasta opał będzie sprzedawany w czwartek. A wiem, że niektórzy zakupili opał właśnie w poniedziałek, wtorek i środę, i to w ilości 2 i więcej ton. Natomiast w czwartek sprzedano koks tylko kilku osobom i już po 1 tonie. Wobec takiego stanu rzeczy zwróciłem się z interwencją do obywatela prezesa, który napisał mi m.in., że „Urząd Miasta i Gminy w Wysokim Mazowieckiem wydał zalecenie, iż poczynszy od 1 października każda osoba może jednorazowo zakupić tylko 2 tony opalu, natomiast pozostała należność przydziałowego opalu będzie mogła nabyć w miesiącu grudniu. Na zwiększenie przydziału węgla i koksu GS nie ma wpływu, z uwagi na centralne rozdzielnictwo tego rodzaju paliwa.” W związku z powyższym pytam, czy człowiek, który stracił zdrowie i siły, pracując w trudnym i odpowiedzialnym zawodzie, w zawodzie nauczyciela, zasługuje na lekceważenie. Jest mi ogromnie ciężko i przykro uwierzyć w to, że zasady, które ja wpajałem młodzieży, „wzięły w łeb”. Obywatel prezes w wyżej wspomnianym piśmie z 14 października mylnie mnie poinformował. Proszę dodać, że restrykcje stosowane w GS-ie w przeważającym stopniu dotyczą ludzi starych i niedołężnych.

CZESŁAW SIENICKI
Wysokie Mazowieckie

Mieszkam wraz z rodzicami w domu jednorodzinnym. Rodzice posiadają gospodarstwo rolne, a ja, wraz z mężem, pracuję w punkcie skupu mleka. Mamy dwoje dzieci. Zawsze otrzymywaliśmy węgiel, a w tym roku okazało się, że nie ma naszej karty. Pracownica GS-u poinformowała, iż wycofała ją Urząd Gminy. Natomiast w Urzędzie Gminy powiedziano nam, że węgiel nam się nie należy, bo mamy tylko jeden komin. Jak dotąd nie słyszałam nigdzie o takich przepisach prawnych, nie było też żadnego ogłoszenia, ani żadnej komisji, która sprawdzałaby warunki mieszkaniowe rodzin mieszkających wraz z rodzicami. Rodzice mają przydział na 1300 kg węgla, a za żywiec sprzedany w kwietniu jeszcze opalu nie pobrali i nie wiadomo, kiedy to uczynią, bo GS wydał zarządzenie, że jednorazowo można pobrać tylko 2 tony. Niestety, nie wszystkich te zarządzenia obowiązują. Sprawdziłszy, że przydział na węgiel mają nawet osoby samotne, mieszkające z rodzicami. Kiedy mąż ponownie udał się do Urzędu Gminy, dowiedział się od pani Wiśniewskiej, że nam się przydział nie należy, bo mamy jedno wejście do domu i jesteśmy na utrzymaniu rodziców. Nie wiem, co za trzecim razem ta pani wymyśliła, a do naczelnika nie ma po co iść. Proszę, aby ktoś z kontroli sprawdził kartoteki przydziału węgla w GS-ie w Radziłowie.

LUCYNA KISILEWSKA
Radziłów

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Życie Wójcika wypełniła praca. Przed wojną pomagał ojcu. W 1942, gdy inni chodzili z partyzantami do lasu i zdobywali szacunek ziemiaków, on się ożenił, płodził dzieci i urabiał ręce po łokcie, by wyżywić rodzinę.

Po wyzwoleniu niektórym mieszkańcom Potoka nowa władza nie podobała się i wyjeżdżali do Ameryki lub Kanady. Tych, którzy nie zdążyli tego zrobić, odpowiednie organy przyuczały do nowego ładu. Innym na odwrót: to nowe spodobało się tak bardzo, że ze starym karabinem z partyzantki pomagali

postępowanie weryfikacyjnego ustalonego w okresie okupacji i po wyzwoleniu organizacji Narodowe Siły Zbrojne. Ze względu do NSZZ odmawia się uznania uprawnień do ZBoWiD.

władzy ludowej. Wszystko to przetaczało się obok Wójcika.

On po staremu harował. Pospłacał rodzeństwo, kupił konia, zbudował chałupę. Ze wszystkimi żył w zgodzie, na władzę nie narzekał, ale też nigdzie się nie zapisywał i nie gardłował na zebraniach. Spokojnie, godnie i uczciwie orał, siał i bronował, w terminie oddawał dostawy obowiązkowe. Ale że klaskał mało, nie czapował, a wódkę pił tylko od wielkiego święta i pewnie nie z tymi, co trzeba, nie był przez władzę gminną przesadnie rozpieszczany. Poprosił o papę na dach — trzy lata kazali czekać, w końcu przydzielili jedną rolę; w sam raz tyle, żeby na niej usiąść i uśmiać się. Poprosił o blachę — dostał kawałek. Wójcik nie był „swój”. Nie pchał się więc tam, gdzie go nie czekali, nikomu nie wadził. Starzał się cicho. Niczego się nie dorobił, mógł więc przypuszczać, że nikt nie będzie mu zazdrościł. Ale pomylił się. Okazało się, że nie wystarczy przepracować życie uczciwie i przesiedzieć je cicho, by zasłużyć sobie na luksus spokojnej starości.

Trzy lata temu umarła Wójcikowa żona. Dzieci dawno dorosłe, wykształcone i w mieście, pola zostało niewiele, inwentarza ledwie parę sztuk, przeto — dobiegłszy 70-ki — Wójcik po raz pierwszy w życiu mógł pomyśleć o sobie. Przyszło mu do głowy zapisanie się do ZBoWiD-u. „Kombatant przecież jestem, na wojnie w 1939 byłem — meldowałem. — Sam jak palec w chałupie zostałem, może tam będzie do kogo gębę otworzyć?” Wybrał się przeto do Gminnego Koła Związku w Potoku Wielkim i złożył podanie. „Przyjmijcie mnie, a jakże” — zapewniali go prezes Bronisław Skrzypek i jego prawa ręka, Kazimierz Słusarz.

ZBoWiD-owskie młyny miały wolno, więc minęło parę miesięcy, zanim Wójcik doczekał się pisma z Zarządu Wojewódzkiego w Tarnobrzegu. Przeczytał i osłupiał. Zarząd informował go, iż „w toku postępowania weryfikacyjnego ustalono, że Jan Wójcik był w okresie okupacji i po wyzwoleniu aktywnym członkiem organizacji Narodowe Siły Zbrojne. Ze względu na przynależność do NSZ odmawia się uznania uprawnień przynależności do ZBoWiD.”

Kiedy osłupienie minęło, Wójcik zaczął się zastanawiać, o co właściwie chodzi. Do NSZ-u nigdy nie należał; nie wiedział, co to za organizacja i dlaczego jej tak w tarnobrzegim ZBoWiD-zie nie lubią. Nie umiał nawet dobrze wymówić nazwy, ciągle myliła mu się z ONZ-em. Żeby jednak sprawę wyjaśnić do końca, odwiedził paru żyjących jeszcze byłych członków NSZ-u. Zaczął ich wypytywać, czy może jakimś sposobem należał do ich organizacji, sam o tym nie wiedząc. „Czyś ty, Jasiu, zgłupiał na stare lata? — pukali się w czoło. — Ożeń ty się lepiej z jakąś wdową, bo niedługo całkiem zdurniejesz w tej pustej chałupie.”

— Owszem, byłem w NSZ-cie — mówił mi Leon Krzeszowski — zapisałem się, bo dawał broń i obiecywali, że będziemy bić Niemców. Znałem wszystkich członków naszego oddziału, ale Wójcika wśród nich

nie było. Nigdy nie widziałem go na żadnej zbiórce.

Zygmunt Wróblewski należał do tego samego oddziału. Rewelacje na temat obecności w nim Wójcika kwił w zwruszeniem ramion: — Nie był i koniec. Po co to całe gadanie?

Wójcik zrozumiał, że to żadne nieporozumienie, lecz ktoś złośliwie i podstępnie stara się mu zaszkodzić. Poszedł po poradę do Skrzypka, szefa gminnego ZBoWiD-u. „No i widzisz, Bronek, jak mnie ktoś niesprawiedliwie oskarżał? Co ja mam teraz robić?” „A bo ja wiem? — padła światła odpowiedź. — Rób, co chcesz.” „A nie wiesz, Bronek,

kto mnie oczernił? — dopytywał się Wójcik. — To przecież musiał być ktoś z twojego Koła.” „Wiedział, jak cię oszukać, to i będzie umiał tak załatwić, żebyś się nigdy nie dowiedział, kim on jest.”

Wtedy, nieoczekiwanie dla sąsiadów, dla oszczerców, którzy najwyraźniej liczyli na to, że sprawa zostanie szybko zamknięta, przede wszystkim zaś dla samego siebie, Jan Wójcik zbuntował się. Wiele przykrości w życiu przeżył, tej nie potrafił. Całe życie w byle konfliktowej sytuacji, dla świętego spokoju, odwracał się i szedł do domu. Robił tak nawet wtedy, gdy zwyciężnie wypadało dać w pysk. Zyskał tym postępowaniem tyle, że w końcu ktoś uznał, iż z Wójcikiem

nikt z nim nie rozmawiał? Przecież odmowa nie zawiera żadnych dowodów przynależności ani udziału w akcjach NSZ-u. W Wójciku narastała determinacja. Poprosił warszawskiego adwokata, by w jego imieniu złożył odwołanie do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Adwokat dotarł do zeznań, na których oparły się obie instancje ZBoWiD-u. Dopiero wtedy Wójcik dowiedział się najciekawszych rzeczy: oto pierwszym, który sprzeciwił się jego członkostwu, był... szef Koła Gminnego, Bronisław Skrzypek. „Z opowiadania miejscowej ludności wiem — twierdził prezes — że u Ob. Jana Wójcika często przebywali członkowie NSZ z dowódcą Adachem. [...] Zorientowany byłem, że Jan Wójcik jest członkiem NSZ placówki Stany Wieś i jako takiego, jako członka GL i AL unikaliśmy go i jego kolegów. Po wyzwoleniu Jan Wójcik prowadził swą działalność w szeregach NSZ aż do 1947 roku. Przez cały okres aż do chwili obecnej nie włączył się do żadnej działalności na rzecz Polski Ludowej. Zawsze był bardzo negatywnie nastawiony do władzy ludowej. Jako prezes Koła Gminnego ZBoWiD w Potoku Wielkim oraz jako członek GL i AL stwierdzam, że Jan Wójcik nie może być członkiem ZBoWiD.”

Nogi się pod nim ugięły. „Nie włączył się do żadnej działalności na rzecz Polski Ludowej” — do dziś nie może przeboleć tego sformułowania.

— A to, że 40 lat uczciwie i ciężko pracowałem, się nie liczy? Ze oddawałem tej Polsce zboże, ziemniaki, krowy, świnie, mleko? Ze wykształciłem dzieci, które dzisiaj dla Polski pracują?

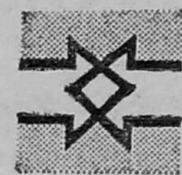
Przy lekturze zeznania kolejnego oskarżyciela, Kazimierza Słusarza, czekały Wójcika jeszcze silniejsze przeżycia: „Wójcik był członkiem NSZ. Mówię to w oparciu o to, że w jego rodzinnym domu często



można wszystko. Teraz stary rolnik poczuł się sponiewierany ponad miarę. Postanowił walczyć o prawdę.

Odwołał się do Zarządu Głównego ZBoWiD w Warszawie. Znowu minęło kilka miesięcy; w styczniu 1985 listonosz przyniósł do nieopalonej Wójcikowej chałupy kopertę z Warszawy. W środku tkwiła niemal dokładnie kopia pisma z Tarnobrzegu: znowu „postępowanie weryfikacyjne”, znowu „ustalono”, znowu NSZ i znowu nie. To drugie „nie” odebrał Wójcik jak policzek. Stracił apetyt, nie mógł spać. W bezsenne noce wczytywał się w suchą formułkę i coraz większa złość go brała. Co ustalono? Czemu

przebywał Adach Walenty, dowódca placówki NSZ. Widziałem ich razem jak chodzili, a także stwierdzam, że wspólnie organizowali NSZ. Ustalali wspólnie plany działalności oraz podejmowali działalność wymierzoną przeciwko członkom GL i PPR. Wiem, że 1 kwietnia 1944 Ob. Jan Wójcik wspólnie z dowódcą NSZ Adachem umówił się na spotkanie z dowódcą brzozy GL Władysławem Skrzypkiem ps. „Grzybowski” i gdy ten przybył na umówione spotkanie, zamordowali go oddając do niego serię z utomatu. Mord ten dokonany był w białym dzień. Cała zasądka na dowódcę GL urządzona była w zabudowa-



Z siedemnastu łomżyńskich turystów, którzy wyjechali na wycieczkę do USA (koszt: 1400 dolarów plus ponad trzysta tysięcy złotych), do kraju nie wrócił nikt. Wyjaśnią ją Amerykanom, dlaczego nie przywieźli spiworów?

Maturzystów jednego z liceów ogólnokształcących w Łomżyńskim poproszono o wypracowanie na temat „Jak rozumieć słowo rewolucja?” Oto wybrane perełki (pisownia oryginalna): „Rewolucja gospodarcza ma niestety także swoje złe strony doprowadza do coraz większego bezrobocia ludzie stają się coraz mniej użyteczni, a nawet niepotrzebni”. „W nauce za rewolucję uważam wynalezienie nowego pierwiastka chemicznego”. „Ta rewolucja (o Rewolucji Październikowej) nie ma tak obszernego czasowo znaczenia, ale miała bardzo wielkie znaczenie dla ludzi nazywanych mianem biednych”. W dwudziestu pracach znaleźliśmy ponadto dwadzieścia kilka błędów ortograficznych. I pomyśleć, że największej w historii rewolucji chodziło również o powszechny dostęp do oświaty!

Rolnicy ze wsi Kuleszki (gmina Andrzejewo) skarżą się, iż nie dość, że Spółka Wodna z roku na rok podwyższa opłaty (już 2200 złotych od hektara), to w dodatku wszelkie obowiązki konserwacyjne cieków wodnych zrzuciła na ich barki. Ba, grozi grzywnami! Słowem: dziurki nie robi, a swoje wysysie.

Anonimowy producent zarzucił łomżyński rynek otwieraczami tak przemyślnie skonstruowanymi, że każda próba użycia nieuchronnie kończy się skaleczeniem dłoni. Historycy dziejów gospodarki polskiej sugerują, iż jest to spóźniona realizacja zamówienia średniowiecznych cyrulików na aparaty do upuszczania krwi.

Młodością powiało w Urzędzie Wojewódzkim! Podobno niektórzy dyrektorzy wydziałów, aby nowy wojewoda nie musiał chylić czoła przed ich doświadczeniem, zaczęli już przyczerniać sobie skronie. Zanim przyjdzie czas na szaleństwa młodości — prosimy: choć raz zamiaty na siły!

Ze stacji CPN-u w Szostkach (gmina Jedwabne) przez dwa ostatnie lata korzystało — ku obopólnemu zadowoleniu — miejscowe kilku rolnicze. Niedawno przybyła tam czyjaś ekipa i, bez uprzedzenia, wymontowała liczniki. Mniejsza o wygodę rolników, pojeżdżą do Jedwabnego; bardziej interesuje nas pytanie, kto i gdzie za te liczniki tankuje?

Wielu podróżników ziemia łomżyńska latoś na świat wydaje, a to przez położenie przynajmniej wojazowanie po szpitalach. I pomyśleć, że pokolenie przyszłych globtrotterów „zafundowała” nam zwykła dziura w ścianie pomiędzy dwiema salami oddziału położniczego Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Łomży. Problem to wielki jak pamiętniej królewskiej świecy, której — przez zły zgrzyt — nikt nie był w stanie zgasić. Tu jest utonienie innej natury: przewagi ilościowej lewych ręk nad prawymi, którą da się naprawić operacyjnie, a potem wystarczy tylko przywołać palcem zapchajdziurę.

„To się nada do „Spieć” — pod hasłem tym głoszą nieustający konkurs na informacje o marnotrawstwie, bezduszności, głupocie, nieuczciwości i wszelkich innych przejawach zła trapiącego nas na co dzień. Na autora najlepszego sygnału tygodnia co tydzień czeka nagroda wysokości 500 złotych (nazwisk auto w nie ujawniamy!). Czekamy na listy i telefony (ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża, tel. 42-43 lub 42-44).

czasem w Potoku różnych Wójcików co najmniej dziesięciu.

Kiedy pierwszy ze świadków Wójcika, Piotrowski, mówi, że jego sąsiad nie należał do żadnych organizacji, przewodniczący przerywa: — Niech pan pamięta o karalności za fałszywe zeznania. Jak się czegoś nie wie, to się nie mówi. Nie wolno kłamać, bo my to sobie potem... Więc jak, dalej pan twierdzi, że nigdzie nie należał?

Ku rozczarowaniu komisji — Piotrowski nie zmienia zdania. Krzeszowski i Wróblewski powtarzają to, co mi powiedział już wcześniej. Kubacki dorzuca, że NSZ-owcy Kobylarze grozili Wójcikowi śmiercią, bo podejrzewali go o kontakty z komunistami.

Stanisław Galka: — Byłem pierwszym po wyzwoleniu wójtem gminy Potok i tak zawzięcie budowałem Polskę Ludową, że nie zauważyłem, jak mi się własna chałupa zawaliła. Znałem wszystkich mieszkańców dokładnie i wiem, że Wójcik nie należał do NSZ-u. Po wyzwoleniu miałem z bezpieczeństwa listę członków NSZ-u. Wójcika na niej z całą pewnością nie było.

— A ujawnił się w czasie amnestii? — podchwytliwie pyta przewodniczący.

— Z czego miałem się ujawniać? Z tego, że nigdzie nie należałem? — wybucha Wójcik.

— No, dobrze już, pozabijacie się, ludziska — wstając w powietrzu awanturę łagodzi z wyżyn swej godności inny członek komisji.

— Było absolutnie niemożliwe, aby najmniejszy nawet kontakt Wójcika z NSZ-em uszedł wiedzy UB — ciągnie Galka. — Chciałem jeszcze dodać, że przed wojną Wójcik należał do koła „Wici”, które prowadził — pokazuje poświadczenie fotograficzne.

— To nieważne — niecierpliwi się komisja. Bądź co bądź minęły już prawie dwie godziny, a na korytarzu czeka jeszcze kilku innych świadków Wójcika: Osowski, Gaska, Suchora, Galkowa i Pasternak. Ale komisja jest już wyraźnie znudzona i spieszy się do niecierpiących zwłoki zajęć w Tarnobrzegu.

ra się: — Raz bym nie oddał życia w terminie, i już bym siedział, a co dopiero oficjalny wróg!

„Rzuć tę sprawę, Jasiek — radzi mu znajomi. — Po co zaczynać wszystko od początku? Nie wygrasz, stracisz tylko zdrowie do końca. Na co ci ten ZBoWiD? Jeśli się tak stęskniłeś za towarzystwem starych dziadków, trzeba było pójść z wódką. Wtedy spokojnie od dwóch lat byłbyś członkiem. Nie zrozumiałeś jeszcze, że postanowili nauczyć cię rozumowi za swoją hardość?”

Wróblewski zarzuca przeciw Wójcikowi tak zrytowały, że kiedyś wprost zapytał Skrzypka: „Za coś ty się tak uwziął na tego Wójcika? „A bo mi się pcha, chamisko. Niech siedzi, gdzie jego miejsce!” Wróblewski tak się tą uwagą rozsierdził, że prosi, bym koniecznie przytoczył ją w artykule.

„Nie mogę ustąpić — odpowiadał uparcie Wójcik. — W takiej sprawie nie można się zatrzymać w polowie drogi. Albo jestem niewinny, albo nie jestem. Jeśli orzekną, że winny, to może pożałuję, że nie należałem do tego ONZ-u? Przynajmniej bym wiedział, za co mi starość zatruwają.”

72-letni szef ZBoWiD-u w Potoku Wielkim z pozoru sprawa wrażeń dobrodusznego dziadunia. W rzeczywistości Bronisław Skrzypek czujnie i pryncypalnie stoi na straży czystości ideowej powierzonej mu placówki. Było kogo do niej nie dopuścić. Przekonał się o tym Wójcik, przekonali się inni, choćby Bolesław Lewandowski. Ale on przynajmniej rzeczywiście należał przed wojną do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. „Należałem do pańskiej organizacji, nie do naszej, to teraz zapisz się do pańskiego ZBoWiD-u” — powiedział mu niedawno Skrzypek. Przyjął za to prezes swojego syna, urodzonego w 1937 roku. Ciekawe, jakimi zasługami wojennymi odznaczyło się chłopię, które w momencie wyzwolenia miało 7 lat. Może — jak żartuje wieś — przestraszyło jakiegoś Niemca na śmierć głośnym płaczem? — Czemu pan oskarżył Wójcika, panie Skrzypek? — pytam.

1 kwietnia 1944 Ob. Jan Wójcik wspólnie umówił się na spotkanie z dowódcą wsiem Skrzypkiem ps. „Grzybowski” i gdy na to spotkanie, zamordowali go oddając automat. Mord ten dokonany był w biały dzień na dowódcę GL urządzona była w zabudowie Jana Wójcika.”

— Ja go oskarżyłem? Ja nie nie mam przeciwko Wójcikowi!

— Ale to przecież pana zeznanie.

— Oj, jaki jestem słaby, redaktorze. Jak mnie żołądek boli. Niedawno operację miałem i muszę pić dużo herbaty.

Z 70-letnim Kazimierzem Słusarzem nie dało się porozmawiać nawet tyle. — Nie mam nic do powiedzenia — zamachał mi przed nosem podpatrzonym w telewizji gestem.

Po upływie następnego półroczia do Urzędu Gminy w Potoku Wielkim zjechał sąd koleżeński przy ZW ZBoWiD w Tarnobrzegu. Niby koleżeński, ale chętnie posługujący się uprawnieniami prawdziwego. Chyba dla dodania sobie powagi przewodniczący uprzedza wszystkich zabierających głos o „karalności karnej z art. 247 za fałszywe zeznania”. Może to i przyjemne: siedzieć sobie za pokrytym zielonym sukniem stołem i patrzeć, jak przestraszone chłopstwo gnienie czapki w niezgrabnych łapach. I oto otwarta rozprawa przeciw Janowi Wójcikowi, 72 lata oskarżonemu o udział w NSZ-cie”. Sądowi chyba się pomyliło, kto kogo skarży, ale nie bądamy zbyt drobiazgowi.

Odczytuje się zeznanie Słuszarza i Dąbka, milczenie spowija natomiast wyznanie prezesa Skrzypka. Okazuje się, że siły „antywójcikowe” nie próżnowały: pojawiają się dwaj nowi świadkowie. Jeden z nich, Józef Niziński, rycofuje się i twierdzi, że faktycznie do NSZ-u należał jakiś Wójcik, ale czy ten — tego nie może potwierdzić. Tym-

gospodarczych Jana Wójcika. Po wyzwoleniu jako członek NSZ oficjalnie występował przeciw wszelkim poczynaniom władzy ludowej. Był postrachem dla ludzi, którzy włączyli się w szeregi odbudowy Polskiej Ludowej”.

Niedorzeczność zarzutów była tak przyzwoła, że Wójcik nie wiedział, czy się czy płakać. Choć 40 lat temu, w Potoku do dzisiaj nie traktuje ludzi, którzy potrafią dostrzec, wskazać miejsce, w którym został zabity „Grzybowski”. Od chałupy Wójcika dzieli je odległość kilometr. W czasie pamiętnych wydarzeń mieszkał on już zresztą w całym innym miejscu. Po wojnie odbywały się liczne procesy członków NSZ-u. Wójcika nie oskarżono; nie wystąpił w nich nawet jako świadek.

Zdzisław Piotrowski, najbliższy sąsiad Wójcika w czasie okupacji: — Ze „Grzybowski” zastrzelili? Nie, toż to największa głupota. Wójcik nigdzie nie należał, całe życie chodził własną drogą. Bronił każdego, kto w domu nie miał. To Słuszarz fałszywie zeznał i ludzi na niewinnego chłopca buntuje.

Faktycznie, pojawieniem się Słuszarza wśród oszczerców nie był Wójcik zaskoczony: — W czasie wojny Słuszarz wyciął w naszym lewym trzy furmanki sosn. Ktoś to zobaczył i powiedział ojcu. Tatusz zajął zajął jeszcze Słuszarza na miejscu. „Oddaj drzewo!” — krzyknął, na co Słuszarz wyciągnął rewolwer: „Jak nie wezmę tego drzewa, to cię tu zaraz zastrzelę.” Co miał ojciec zrobić? Wrócił do domu, potem chętnie ludziom opowiadał o tym wydarzeniu. Dlatego Słuszarz nienawidził ojca, a po jego śmierci przeniósł tę nienawiść na syna.

Trzecim oskarżycielem był Mieczysław Dąbek: „W 1944 roku byłem przypadkowym świadkiem, jak Wójcik strzelał z karabinu do członków GL uciekających z Dąbki furmanką w kierunku Kolońskiej Stany. W tym czasie ja byłem Pasternaka krawca, a Wójcik wybiegł ze swoich zabudowań i strzelał do uciekających. [...] Wójcik był wtedy we wsi jako nieprzejednany wrogi wszystkich tych, którzy działali na rzecz władzy ludowej”.

Dąbek ma pecha, bo krawiec Mieczysław Pasternak jeszcze żyje, a na Dąbka dokładnie pamięta ten dzień: — Czy ten Dąbek ma mnie głupiego, czy sam zwariował? Nie mógł niczego widzieć, bo w czasie tamtej strzelaniny nie było go. Na Sądzie Ostatecznym może to potwierdzić! Chyba był pijany, jak to zeznał.

Minęło kilka kolejnych miesięcy. W październiku 1985 do Potoka Stanów nadszedł odpis z proku NSA, który uchylał decyzję Zarządu Głównego ZBoWiD. Wzywał Wójcika uzasadnienie wyroku, a nowo wstępowała w niego nazwa: „W rozpatrywanej sprawie Wójcik ZBoWiD wbrew swym obowiązkom całe postępowanie dowodowe przeprowadził bez udziału sądownego, który o stawianych zarzutach, w tym przynależności do GL, dowiedział się już po wydaniu oskarżonej decyzji. Naruszenie tych przepisów postępowania mogło mieć wpływ na wynik sprawy, gdyż z treści skargi wynika, że oskarżony chciałby złożyć wyjaśnienia oraz wskazać środki dowodowe, które mają podważyć wiarygodność zeznań przestępujących w toku postępowania weryfikacyjnego”.

Po prawie dwóch latach sprawa znalazła się w punkcie wyjścia. W doświadczonego czasu, nerwów i wyczerpania, a spokoju ducha i tak Wójcik nie odzyskał. Mogłoby to być, gdyby wszystkie zarzuty zostały uznane za nieprawdę. A do tego było daleko. Niejedną sprawą stała się dla niego tak ważna, że usunęła w cień wszystko to, co przez 70 lat stanowiło treść jego życia. Myślami jest w czasie wojny, każda rozprawa po paru minutach nieuchronnie do niej wraca.

— Jak mogą? Jak mogą mnie oskarżać o zabicie tego „Grzybowski”? — powtarza i nie może przetrzymać leż. — Przecież wszyscy, którzy cokolwiek mieli wspólnego z tą sprawą, dawno już odsiedli wyroki i nikt się ich nie czepia. U mnie nikt nie szukał broni, nie głaszał żadnych zarzutów. Czy możliwe, aby bezpieka została w spokoju takiego, co to „oficjalnie” opublikuje przeciw wszelkim poczynaniom władzy ludowej? — I choć Wójcikowi nie do śmiechu, rozchmu-



tym razem zza Dunaju

Mizerny on tego lata, płytki, że najstarsi ludzie nie pamiętają takiej małej wody w Dunaju. Kiedy dojeżdżamy do Widina, Ilina Gergowa, która oczekiwała mnie na dworcu w Sofii, pokazuje wyspę — Tędr — mówi — między wyspą a brzegiem pływają statki w dół rzeki. Normalnie tak jest, a teraz... Teraz jest błoto, Ruch na Dunaju prawie ustał, pływają tylko jednostki o najmniejszym zanurzeniu. A przecież, po wiosennej suszy, żniwa były deszczowe. Przynajmniej tutaj, na północnym zachodzie. To wystarczyło, aby porosła na polach wybita ulewą pszenica, ale za mało, żeby napoić Dunaj. Słowiański Ganges czeka na wodę.

Do Widina jadę po raz drugi. Przed dwoma laty dotarłem tu od północy, właśnie przez Dunaj, promem z Kalafat, na początku września. Cztery dni z Łomżyńską Orkiestrą Kameralną, „w charakterze ojca chrzestnego”, jak powiedział pewien złośliwiec (za co go lubię), w okresie bułgarskiego święta narodowego, dały okazję do posmakowania jedynie, „liźnięcia” tego kawałka Bułgarii wciśniętego między Jugosławię a Rumunię. Wtedy zachwyciłem się wieczór w górskim, przygranicznym miasteczku Czuprene, gdzie na pochyłym rynečku próbowałem tańczyć choro, piłem wonne, ciemne jak zmierzch w ciepłym wozie wino i pojadłem pachnący, nieostygly jeszcze bielutkiego kołacz. Został mi też obraz Widina o odświeżeniu pustych ulicach i tłumnie zaludnionym parku bulwarze, restauracjach i kawiarniach. Teraz chcę zobaczyć, poznać więcej. Wiem, że moi gospodarze, redakcja widskiego pisma „Czerwone Znamie”, potrafią to umożliwić. Na razie, pierwszego dnia, zamieszkuje na drugim piętrze starego hotelu „Bononia”, skąd blisko wszędzie, dokąd ciągnie mnie najbardziej — do dunajskiej przystani, starych bram w nieistniejących już murach obronnych, parku rosnące-



go na zasypanej fosie, pięknego, nowoczesnego placu Dymitra Błagojewa i starych uliczek centrum, nad którym górują — po jednej stronie minaret, a po drugiej — kopuła cerkwi Sw. Dymitra. Jeszcze godzina „pocziwki” w hotelu, a potem zacznie się siedmiodniowa „naprężona” program. Obiecuję, choć niepokojąco gęsto, zapisany jest maszynopis tego programu w ręce naczelnej redaktor „Czerwonego Znamia”, Kiriłki Peszewej.

Pierwsze wrażenie z porannego, już następnego dnia, spaceru po mieście — Widin wydłgał. Piękna, choć nielitościwa dla damskich szpilek wykładzina placu Błagojewa pokrywa już sąsiednie ulice, dociera do brzegu Dunaju. Marmurowe płytki (na szczęście nieszlifowane, jak np. w Jeleniej Górze, co po byle deszczu dostarcza pacjentów miejscowej ortopedii), położone pasmami drobnej granitowej kostki i

wąskimi flizami innego jeszcze kamienia, dzielą ażurowe wstęgi żeliwnych krat odwadniających — co w sumie daje urozmaiconą fakturalnie i kolorystycznie przestrzeń spacerową, z którą pięknie kontrastuje zielen, a lekkość dodają wodotryski wielkiej fontanny. To jest centrum, w którym chce się być; nawet jeśli mieszka się w odległym osiedlu, to przynajmniej raz w tygodniu tutaj trzeba przyjść i pospacerować. Nic więc dziwnego, że codziennie wieczorem ludzie tu wiele, a w pobliżu budowanej drugiej fontanny gromadzi się, do późnych godzin, tłumek rozgadanych mężczyzn. Główna ulica Widina, prowadząca od wjazdu z kierunku Sofii przez dzielnicę przemysłową, jest w centrum już prawie całkowicie zabudowana. Co prawda wielki blok mieszkaniowy obok hotelu „Rowno” jeszcze nie w całości zamieszany (przed dwoma laty stała jedynie

żelbetonowa konstrukcja), ale architektoniczna perspektywa ulicy już zamknięta. Białe tynki na wysokich budynkach, wijąca się meandrycznie linia zabudowy, partery budynków tworzące ciąg najróżniejszych sklepów (w tym także sklep „Łomża”), wyniesione ponad poziom ulicy, obsadzone młodymi jeszcze brzozi, dają poczucie wielkonośności, ale w wydaniu nie przytłaczającym. Na bulwarze wyrosła konstrukcja dwupiętrowego budynku, jak myślę — dworca żeglugi dunajskiej. A dalej, w kierunku teatru, pojawił się Herkules odpoczywający po walce — powiększenie do rozmiarów naturalnych rzymskiej rzeźby z II wieku, odnalezioną w pobliskim Arczarze, czyli z łacińska Racjarii, będącej jedną z „kopalni” widskich starożytności.

Historia jest w tym mieście czymś oczywistym, podobnie jak w Łomży, tylko o ileż rozleglejsza w czasie. No i trwalsze są jej pamiątki. Nawet te przedhistoryczne, choćby malowidła w grocie Magura pochodzące z epoki brązu. I rzymska Bononia, i bułgarski Bdin, od IV wieku chrześcijański, od 1003 roku bizantyjski, który w 1371 roku stał się stolicą królestwa Bdin, jako ostatnie z miast bułgarskich, w 1396 roku popadł w turecką niewolę. Jej okropności znośli w cierpieniu, ale pozostał jednym z dwóch centrów, obok Tyrnawy, pisania ksiąg. Także w bułgarskim, XIX-wiecznym renesansie zaznaczył, już jako Widin, swoją indywidualność — tu w 1874 roku ukazało się pierwsze w Bułgarii pismo rolnicze „Gospodarz” („Stupan”).

Zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób historia jest obecna tutaj, w tej bramie wiodącej od Baku, wzdłuż Dunaju, na północ i zachód. Cała przeszłość to fundament, którego warstw najstarszych nikt nie próbuje usuwać, zasypywać. Nie usiłuje się także zniszczyć tej jego części, która, pociemniała od szerniałej krwi, narosła w czasie niewoli. Pokazuje się tylko w twierdzy Baba Wida drążona gołymi palcami w kamiennych ścianach kalendarza więźniów: jedna dziurka — jeden dzień, i wąskie wyjście „na wolność”, za którym na każdym czekał Turek z szablą. Co najważniejsze, pamięta się tutaj o tym, że współczesność to fundament przyszłości. Banalne to niby, ale nielatte w praktyce.

O tym jednak w następnym liście.

Cud nad Narwią” zaistniał oficjalnie 1 września 1986 r., gdy w osiedlu Księżnej Armii dla 750 dzieci klas 0—III zabrzmiał szkolny dzwonek. Wbrew opinii licznej rzeszy niedowiarków nowy obiekt został wzniesiony według obliczeń entuzjastów w dziewięć, a bardziej krytycznych osób — w piętnaście miesięcy, co i tak jest ewenementem na skalę kraju. Dyrektor LPB, Tadeusz Słojewski, już w lutym przepowiedział ten cud, czyli oddanie budynku bez poślizgu. Nie obyło się, oczywiście, bez wielkiego przypięcia w kołach i pomocy społeczeństwa. Zadowolone ogólnie było jednak spore, budowlani dostali kwiaty oraz „po kiesze-

cudów nie ma

do redakcji dziennika telewizyjnego. W październiku, po Święcie Nauczycieli oraz Budowlanów, ekipa zjawiała się w Łomży. Jako mieszkanka nadnarwiańskiego grodu zgłosiłam się służyć za przewodnika warszawiakom goszczącym w Łomży po raz pierwszy. I od razu „dałam plamę”. „Dziwiątkę” wprowadziłam codziennie niemal widując, przechodząc lub przejeżdżając ulicą Zawadzka, ale pilotowanie kierowcy tak, by do niej dojechał, okazało się zadaniem przekraczającym moje

po chodniku! Oczywiście, spychając małych przechodniów na grzaskie pobocze.

Budynek szkolny jest jeszcze opuszczany przez budowlanych: wykańczają wnętrza drugiego segmentu oraz stołówkę. Sali gimnastycznej nie ma wcale, lecz — jak wynika z dokumentacji — powstanie tu w bliżej nieokreślonej przyszłości wspólna hala sportowo-widowiskowa. Na razie, jak w wiejskiej szkółce, lekcje wychowania fizycznego odbywają się na zielonych terenach w pobliżu szkoły, a w niepogodę — na korytarzach. Pojawienie się telewizyjnej ekipy wywołało żywe zainteresowanie dzieci. Stłoczyły się na szkolnym placiku podziwiając kamerę. Za szydami przyszłej stołówki tkwił obojętny szereg 15—20 młodych głów i pleców w szarobieliskich kombinizonach. Nic nie wskazywało na to, by była to przerwa śniadaniowa, raczej konwersacyjna. Ekipa telewizyjna dobre pół godziny kręciła się po szkole. W budowanej stołówce niezmiennie panował bezruch.

Red. Marek Szelewski zdecydował się więc na zarejestrowanie tego kontrastowego, statycznego obrazka po dynamicznej lekcji gimnastyki. Gdy rozbiły światło reflektora, młodzi budowlani wypieklili z kątów jak spłoszone karaluchy. W sąsiednich pomieszczeniach znalazły się łopaty, taczki i... robota. W powietrzu zawisł gesty pył. Mimo kurzu i wiającego się pracowicie mrowia robotników dostrzec można było zastępcę kierownika budowy, młodego człowieka w okularach oraz przedstawicielkę LPB. Zastępcą kierownika był wyraźnie stropiony koniecznością odpowiedzi na pytanie redaktora, dlaczego przez pół godziny nikt nie pracował. — Pan

sam wie, dlaczego — powtarzał bez sensu. — Jest tu z nami instruktor, ale wie pan...

No tak, skoro nie brakło ani ludzi, ani materiałów, ani frontu robot, musiałoby zabraknąć wytłumaczenia. Przypomniał mi się, widziałem poprzedniego dnia w dzienniku telewizyjnym, wystraszonego szefa pewnej instytucji w województwie gdańskim, która zmarnotrawiła przez swą niedbałość masę sprzętu. Ze łzami w oczach i drżącym głosem szef ów wyjaśnił red. Słojowskiemu: — Bo ja nie wiedziałem, że przyjedzie telewizja...

W Łomży też nie było, a to dzięki pani inspektor z LPB, kobiecie posiadającej widocznie niemałe „światowe obycie”. W każdym razie polska telewizja nie była jej straszna. — Jakim prawem — atakowała bez zająknięcia, nie mówiąc już o ewentualnym rumieńcu wstydu — śmieliście wejść na teren budowy? Cóż z tego że drzwi były otwarte? Każda budowa jest terenem dla obcych zamkniętym i na wejście potrzebna jest zgoda kierownictwa.

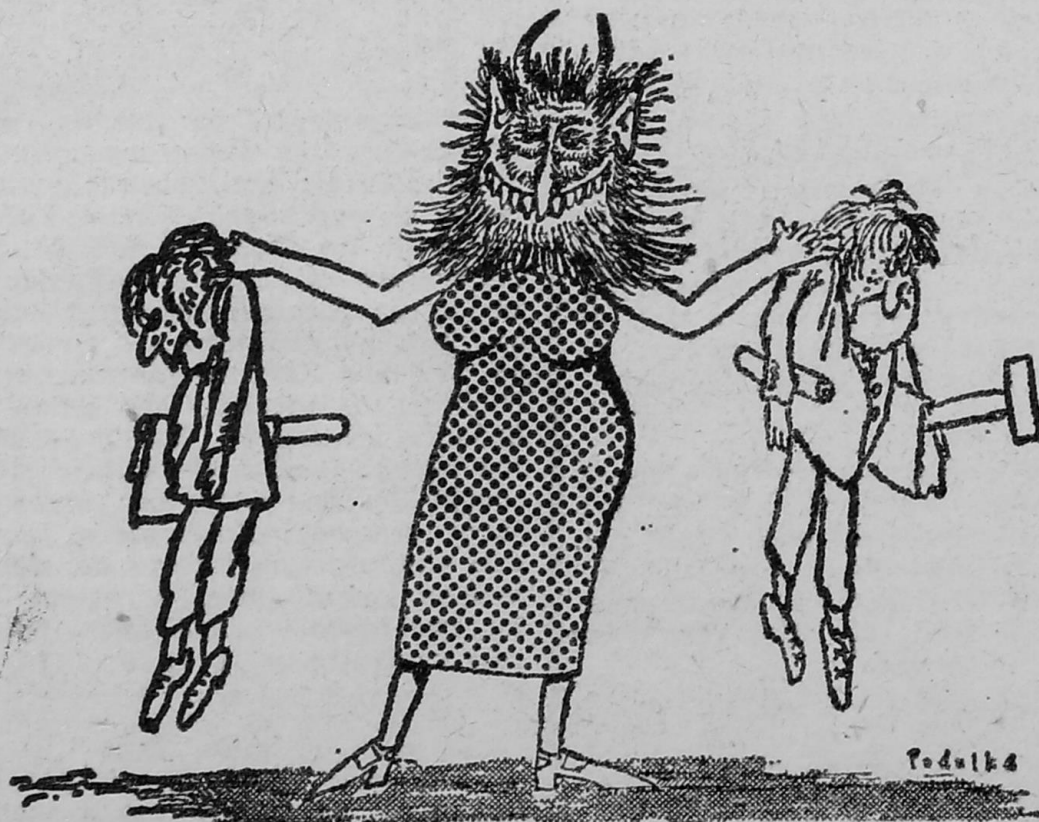
Można było odnieść wrażenie, że chodzi o jakąś niezwykłą tajemnicę państwową. Jak gdyby budowano tu wyrzniętą rakietową, a nie szkolną stołówkę. A może pani z LPB zależało po prostu na tym, by nie ujawniać, na czym polega sekret „łomżyńskiego tempa?”

Kusiło mnie, żeby zapytać instruktora, w jaki sposób przekazuje młodym swą wiedzę, uczy zawodowej rzetelności itp. Zrobiłam nawet dwa kroki w jego kierunku i spojrzalam: mistrz prowadził właśnie praktyczne zajęcia z tematu „właściwe tempo pracy”. Zrezygnowałam z rozmowy. Przyszło mi na myśl, że druga taka lekcja prawdopodobnie już się nie powtórzy, więc szkoda byłoby zepsuć coś tak unikalnego.

KAROLINA

ys. Andrzej Podulski

refleksje



ni”, lecz mimo rozgoryczenia zainteresowanych i ich sympatyków. dyr. Słojewski pozostawał na żale niewzruszony. I zapewne dobrze wiedział, dlaczego nie należy nikogo nadmiernie rozpieszcać.

Wiele o „cudzie nad Narwią” dotarła też nad Wisłę, a konkretnie

możliwości. Wiliśmy się nieporadnie po pobliskich osiedlowych uliczkach, niemal nie tracąc z oczu sylwetki szkoły z zaparkowanymi przed nią samochodami, wcale się jednak do niej nie przybliżając. Trójka skrabów upewniła mnie w najgorszych podejrzeniach: do szkoły jeździ się



wiadomości

PRZYGODA W DOBRYMLESIE. To zdjęcie wykonał Adam Chętnik w latach trzydziestych. Młyn, zbudowany na początku XIX wieku, zmienił się nieco w wyniku przebudowy po Powstaniu Styczniowym i po I wojnie światowej, ale przetrwał do dziś. Dawniej był to widok zwyczajny i mocno związany z polskim krajobrazem np. w XVIII wieku takich młynów na dopływach Pisy i Narwi znajdowało się kilkanaście. Przegrały z tzw. cywilizacją. Czy uwierzycie? — W sezonie turystycznym minęło mój kajak na Pisie 60 jachtów i motorówek w ciągu trzech dni! Nawet byśmy nie wiedzieli, jakie piękno tracimy, gdyby nie ostatni młyn wodny z tych stron, przeniesiony w 1967 r. do Skansenu w Nowogrodzie. Adam Chętnik miał jeszcze okazję fotografować pracujące wielkie koła młyńskie, ich „łopaty” posłuszne prądowi rzeki. Nam pozostał „ostatni Mohikanin” budownictwa ludowego w „rezerwacie” i to w roli martwego eksponatu. Czy kiedykolwiek ożyje? Młyn ten „wstał się” zniszczeniem kajaka i zatrzymaniem pamiętnej wyprawy Melchiora Wańkowicza, o czym wspomina także Chętnik w swojej książce „Mazurskim szlakiem”, wydanej w 1939 r. w Łomży: „W 1935 r. płynąłem w górę rzeki [...] do rąbki pruskiej. W Dobrymlesie dowiedziałem się, że jakiś pan z Warszawy jechał kajakiem aż z Prus, z prądem rzeki; u młyna wywalił się w odmet, [...] utopił aparat fotograficzny, klisze

up. Rybacy miejscowi i nowogrodzcy robili tu przez parę dni poszukiwania, tym bardziej że obiecano im sutą nagrodę [...]. Dopiero w Koźle, gdzie ten pan przedtem zatrzymał się na noc, dowiedziałem się, że był to znany autor „Na tropach Śmętka”.

● **TROPEM WANKOWICZA.** Do biblioteki Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego trafił egzemplarz II wydania, z 1936 r., „Na tropach Śmętka” — rarytas ilustrowany 172 fotografiami. Wysiłnik Towarzystwa popłynął z nim Krutynią i Pisą, aby porównać, jak to wygląda dzisiaj. Przekonał się, że wciąż aktualne są słowa Wańkowicza: „Skala odczuwań w takiej podróży jest ogromna [...], dusza ludzka wzbiera taką opętą radością, że chciałoby się z kajaka wyskoczyć”. Cóż, wymarzone spotkania z rdzennymi Mazurami nie wypaliły

— bo albo turyści, albo „Ja z za Buga, panie”, a w słynnym Wojnowie, gdzie spośród 25 mniszek klasztoru Fiedosiejewców zostały tylko 2 siostry — nie wypadło łamać zakazu fotografowania. Co prawda ekipa z Bydgoszczy, która przed rokiem dokładnie penetrowała szlak Wańkowicza, również wyjechała bez portretów mniszek — ale to słabe pocieszenie. Pozostała niezawodna przyroda, o której Mistrz Wańkowicz tak pięknie pisał: „jeśli cię komary całego zostawią — oczy twoje nie dość się napatrzą, uszy twoje nasłuchają, a nozdrza dość nie nawąchają”, czyli krótko mówiąc: „wódki nie piw- szczy, pijany jesteś i śmiały do całego świata”. Plon łomżyńskiej wyprawy: ponad 300 barwnych prze- zrocz jest — na życzenie — do obejrzenia w Klubie LTF.

● **W PLENER, W PLENER, MI-**

ŁY BRACIE... Z ciekawszych wydarzeń fotograficznych odnotujmy jesienny plener, w którym wzięło udział 10 osób. Trasa wiodła przez jeden z piękniejszych zakątków województwa: wzdłuż Biebrzy od Wizny po Wąsosz i przez Jedwabne do Łomży. Dwie osoby wykonywały — powiedzmy skromnie — dokumentację czarno-białą, pozostałe — barwną. Udało się utrwalić m.in. wschód słońca nad grodziskiem w Samborach, Biebrzę w okolicy wsi Rutkowskie i Burzyn, uroczą Wisłę w Raciborach, malownicze resztki młyna wodnego w Dziwielinie, kryptę słynnego Sienkiewiczowskiego Rzędziana u karmelitów w Wąsosz. Ile w tym rzeczywistej dokumentacji, a ile twórczej inwencji — niech ocenia bywalcy Klubu LTF.

Tekst i reprodukcja BOLESŁAWA DEPTUŁY



prezentacje



wi od drugiego. Jeśli naturalnie są małżeństwem i jedno z nich pragnie rozwodu.

Szef agencji, praktykujący kwakier i purytanin w każdym calu, założył ją bodaj przed pół wiekiem, powodowany chęcią niesienia ludziom pomocy. A stało się to po odkryciu ponurej prawdy, że jego żona, z którą żył w świętych węzłach małżeńskich zaledwie od roku, zdradza go z nędznym komiwojażerem, sprzedającym męskie sznurowadła do butów w sześćdziesięciu czterech rodzajach, typach i gatunkach. Zaczął coś podejrzewać, kiedy znalazł przypadkiem w szufladzie pęk kolorowych sznurków z metalowymi skuwkami, a ponieważ było tego tyle, że wystarczyłoby do końca życia dla kilku Salingerów, jego uwzniośnione myśli zwróciły się w stronę spraw bardziej przyziemnych. Jak tam było dalej, tego nikt dokładnie nie wiedział, w każdym razie Slim żonę swoją przepędził z domu, a nieco później uzyskał koncesję na założenie biura detektywistycznego, w którym początkowo pracował sam jako główny detektyw, a później, kiedy się wzbogacił, był już tylko szefem agencji siejącej posterach w szeregiach niewiernych żon i nadmiernie chutliwych mężów. Innymi sprawami nie zajmował się, będąc człowiekiem honoru gardził stosowanymi przez siebie metodami i w ogóle całą ideą detektywizmu, jednakże cel uświęca środki, a celem tym była nieustępliwa walka z szatanem, który jest wszędzie tam, gdzie tylko pojawia się niewierność małżeńska.

Jilli, wstępując w progi agencji, dobrze o tym wszystkim wiedziała, jednakże wiedziała i o tym, że za odpowiednią dopłatą każdy detektyw, któremu szef zleci prowadzenie jej sprawy, zdobędzie także inne, potrzebne jej informacje.

Ale na początku trzeba było pomyślnie przejść egzamin, jakiemu poddawano wszystkich klientów, bowiem Slim Salinger koniecznie musiał wiedzieć, czy rzeczywiście znowu ma do czynienia z szatanem, a jeśli tak, to w jakiej postaci tym razem on występuje, no i oczywiście, jak głęboko zdołał wtargnąć w losy kolejnych, opętanych przez siebie nieszczęśników.

W poczekalni, urządzonej z przepychem w dawnym refektarzu klasztoru karmelitów bosych, siedział jeden tylko mężczyzna, nie stary jeszcze, ale już i nie młody, z głową opuszczoną ku ziemi i martwym wzrokiem wbitym w surowe, z grubszą tylko heblowane deski podłogi. Jilli pomyślała sobie natychmiast, że to ani chybi ciężar rogów pochyla kark tego człowieka, w czym, zresztą, sam ją po chwili upewnił. Osobnik ten podniósł bowiem głowę, obrzucił ją martwym wzrokiem i wyszczał przez zaciśnięte zęby: — Bądźcie przekłete, kobiety! — po czym znowu zapadł w letargiczne otępienie.

— Powieś się, stary capie! — grzecznie, ale stanowczo odpowiedziała mu Jilli, zdając sobie jednocześnie sprawę z całkowitej bezcelowości mówienia czegośkolwiek facetowi, który i tak zapewne niczego nie słyszy, ponieważ w uszach ma wyłącznie dźwięk głosu swojej ukochanej, która go haniebnie zdradziła.

Tymczasem bezszelestnie otworzyły się drzwi i w progu stanął sekretarz Salinger, mężczyzna suchy i kościsty, odziany w czarny surdut skopiowany chyba z dziewiętnastowiecznego żurnala mody. Pełnił on rolę sekretarki osobistej szefa, ponieważ w całej agencji nie pracowała ani jedna kobieta, co zresztą wynikało ze świadomości prowadzonej polityki kadrowej.

„Powrót do Edenu” (17) — Lalonel Pastiche Stevens

Niedowiarek tkwiący w Stewardzie kazał mu z wrażenia mocniej ścisnąć pióro w rękę, ale wierzący i neutralny, rozluźniwszy uchwyt, natychmiast popchnął go do wypisania czeku. Jilli, wsłuchując się z lubością w skrzyp stalówki roztańczonej na papierze, pomyślała sobie, że teraz musi jakoś pozbyć się tego amanta, który niewątpliwie zechce pójść z nią do łóżka. Może zatem spadnie na



nią nagły atak straszliwej migreny, a może po prostu ma okres i chociaż bardzo pragnie swojego Freda, to jednak bezlitosna fizjologia zmusza ją do seksualnej abstynencji. Niestety.

VII.

Inspektor Collins, zwany przez pracowników wydziału zabójstw Rejonowej Komendy Policji w Sydney Kangurem, a to z racji krótkich rąk, prawie rączek, i bardzo długich nóg, od trzech tygodni głowił się nad rozwiązaniem zagadki, która w aktach policyjnych nosiła kryptonim „Bliźnięta”. Stary ten tropiciel, facho-



Zaden chyba zespół muzyczny Wielkiej Brytanii nie ma tyle zewnętrznej atrakcyjności, co charakterystyczny, błyskotliwy duet występujący pod nazwą „The Eurythmics”. Ich osobowość estradowa i piosenki porywają wyobraźnię milionów fanów na całym świecie. Annie Lennox — żeńska połowa duetu zdobywa sobie uznanie wszędzie, gdzie występuje.

„Eurythmics” uosabia to wszystko, do czego brytyjski rock przykłada tak wielką wagę — czyli wizualną atrakcyjność oraz zdolności kreacyjne. Duet zaistniał na rynku płytowym w 1980 roku, ale rodowód grupy zaczął się o wiele wcześniej. Annie i Dave kariery swoje rozpoczęli w 1977 roku, w „The Tourists”, ale nie był to zespół, o którym marzyli. Nagrali kilka piosenek, z których „I Only Want To Be With You” zaliczyć można do najciekawszych. Po trzech latach istnienia „The Tourists” rozpadli się, co Annie i Dave przyjęli z wielką ulgą. Zaczęli zastanawiać się nad kierunkiem, jaki powinni obrać w swoich poszukiwaniach.

„Musielismy przyjąć bardzo egocentryczną postawę — wspomina Dave. — Wspólnie z Annie postanowiliśmy, że będziemy odpowiedzialni tylko przed sobą nawzajem. Zawsze jest tak, że jeśli do podejmowania decyzji włączają się jeszcze inni, to cała energia i motywacja rozpraszają się.”

Planując przyszłą karierę postanowili skorzystać ze swoich bogatych doświadczeń. Annie, urodzona w 1954 roku w szkockim mieście Aberdeen, córka pracownika stoczni, do siedemnastego roku życia chodziła do szkoły, a potem wyjechała z domu, by w London Royal Academy of Music studiować grę na flecie i fortepianie. Przeżyła niestety, moment rozczarowania swoimi studiami, nie zawsze okazywało się, że jej zainteresowania pokrywają się z programem studiów, lecz ostatecznie jej wybór okazał się słuszny. Dwa następne lata zeszyły Annie na komponowaniu piosenek oraz śpiewaniu w różnych zespołach. W 1977 roku, kiedy pracowała jako kelnerka w Londynie, czekając na lepsze czasy, poznała Dave’a.

Dave Stewart, urodzony w Sunderland w 1952 roku, rozpoczął

kariere muzyczną po ukończeniu szkoły. Pierwszy krok polegał na tym, że jako pasażer na gapę ukrył się w ciężarówce należącej do „Amazing Blondel”, kiedy zespół ten koncertował w jego rodzinnym mieście. Zapal Dave’a widac przekonali muzyków, że myśli on całkiem serio o swoim zawodzie. Wspólnie z nim odbywał więc podróże artystyczne, początkowo na prawach terminatora, ale bardzo szybko muzyka stała się jego pasją i drogą życia.

Od pierwszych wspólnych dni w zespole „The Tourists”, który powstał już po spotkaniu Annie i Dave’a w Londynie, oboje doszli do wniosku, że stanowią po prostu

idealną parę muzyczną. Jej oparte na soulowym brzmieniu operowanie głosem i zamiłowanie do występów na żywo Dave uzupełniał retylnym przygotowaniem muzycznym, rosnącym zainteresowaniem różnymi technicznymi nowinkami w muzyce, znajomością techniki nagrania oraz inwencją w pracy nad uzyskaniem nowego brzmienia.

„Eurythmics” — mówi Dave — nie jest zespołem muzycznym w tradycyjnym znaczeniu. Annie i ja stanowimy jak gdyby jądro, wokół którego skupiają się najróżniejsi muzycy, w zależności od tego, kto jest akurat osiągalny i z kim nam się dobrze pracuje.”

EURYTHMICS



Jest to chyba idealne rozwiązanie i ono przede wszystkim wyjaśnia, dlaczego wszystkie płyty „Eurythmics” oraz występy na żywo mają w sobie tyle życia i świeżości.

Prawdziwym magnesem przyciągającym do zespołu międzynarodową publiczność jest powierzchniowość Annie. „Zaskoczona jestem — twierdzi Annie — siłą oddziaływania, jaka tkwi w makijażu i kostiumie”.

Prezentuje ona styl, który zacier różnice płci. Niedawno wystąpiła w telewizji ucharakteryzowana à la Elvis Presley. Annie śpiewa łodowało zimnym głosem, gdy tymczasem słowa przebojów zespołu przywodzą na myśl obrazy nasycone niedzielnym sentymentalizmem, odpowiadającym jednak potrzebom współczesnych ludzi. Takie „Right by Your Side”, „Here Comes the Rain Again”, „Who’s That Girl” czy „Love is a Stranger”, mają wszystkie jedną wspólną cechę — stanowią połączenie nostalgicznych tekstów z tanecznym rytmem.

Dave uważa, że czynnikiem przesądającym o powodzeniu, jakim cieszy się muzyka zespołu, jest soulowa wokalistyka Annie, tak dobrze współgrająca z jego skłonnością do koncentrowania się raczej na technicznej stronie muzyki. Oboje, zresztą, stanowią swoje całkowite przeciwieństwo. On lubi bywać w świecie i spotykać się z ludźmi, ona woli samotność. Głębia osobowości Annie ujawnia się w słowach piosenek, które pisze.

W historii muzyki pop rzadko zdarzało się, aby męsko-damskie duety wytrzymywały dłużej ze sobą niż rok. Albo kończyły się małżeństwem, albo rozpadem zespołu. W przypadku „Eurythmics” jest trochę inaczej — grupa okazała się przystosowana do naszych bardzo specyficznych czasów, kiedy to wykonawcy muszą nie tylko wykazywać duże umiejętności tworzenia nastroju chwili, lecz jeszcze zabić oryginalnością, zaintrygować niekonwencjonalną osobowością. Mijamy nadzieję, że mimo różnych kolej losu Annie i Dave’a zespół popracuje jeszcze kilka lat i dostarczy nam wielu ciekawych piosenek.

wiec w swojej branży z blisko trzydziestoletnim stażem pracy, postrach wszystkich rzeźmieszków i przestępców, otrzymując to zadanie nawet przez moment nie przypuszczał, że po błyskotliwym początku śledztwo znajdzie się w punkcie wyjścia, to znaczy nigdzie.

Kiedy pewnej nocy znaleziono dwa ciała mężczyzn w piwnicach dwóch opuszczonych domów, na dwóch różnych krańcach miasta, Collins natychmiast połączył te dwie, z pozoru różne, sprawy w jedno. Zrobił to po części intuicyjnie, a po części w przekonaniu, że choć meboszczków dzieli od siebie całe miasto, to jednak łączy ich data śmierci i podobne miejsce przedostatniego spotkania, bo ostatnim będzie, oczywiście, cmentarz.

W ciągu kilku pierwszych godzin inspektor ustalił nazwiska zamordowanych, choć nie mieli przy sobie żadnych papierów. Przyszło mu to łatwo, bowiem jeden z nich był kiedyś znanym policjantem, a drugi miał w policji bogatą kartotekę. I wtedy hipoteza Collinsa nabrała rumieńców — ci dwaj najprawdopodobniej znali się, Bob Yveco mógł odwiedzać bar „Pod Topolami”, w którym często bywał służbowo za swoich policyjnych czasów, a w którym Dick, zwany Mobym, piastował posadę wykiadaj.

W trakcie sekcji wyszły na jaw fakty potwierdzające prawidłowość rozumowania Collinsa. Yveco został zabity uderzeniem jakiegoś ciężkiego przedmiotu w tył głowy, natomiast Moby z całą pewnością zginął od ciosu karate, na co wskazywał mało groźny z pozoru ślad, usytuowany jednak w niewłaściwym punkcie ludzkiego ciała. Scenariusz tego podwójnego morderstwa mógł być zatem taki: Yveco, najzdolniejszy niewątpliwie karateka wśród policjantów — zostało to odnotowane w jego aktach — najpierw uziemił Mobego, a później sam dostał po głowie i rozplynał się w nicotę. Żeby jednak to udowodnić, trzeba było zebrać pakiet konkretnych dowodów.

Collins zadał sobie najpierw pytanie, jaki to konflikt mógł zaistnieć między knajpiarzem wykiadaj i byłym policjantem, w którym ciele nie znaleziono ani kropli alkoholu, z czego wynikało niezbyt, że w żadnym wypadku nie mogło tu chodzić o zwykłą bójkę, wywołaną przez pijanego klienta. Tej nocy w barze „Pod Topolami” nie było zresztą bójki, a przynajmniej nikt z przesłuchanych stałych bywalców i przypadkowych gości, do których udało się dotrzeć, niczego na ten temat nie wiedział. Jednakże Moby,

był to drugi i, niestety, ostatni już pewnik, gdzieś około pierwszej po północy przebywał jeszcze na terenie knajpy, bo widziało go w tym czasie kilku birbantów i sam właściciel, Stawropulos, nie zaprzeczał temu. Skoro więc lekarz sądowy stwierdził, że zgon nastąpił między drugą a w pół do trzeciej, zaś Dick w tym czasie pracował i nigdy by mu nie przyszło do głowy, że można — ot, tak sobie — opuścić pracę bez zgody szefa, pozostawała tylko jedna możliwość: został zabity tu, na miejscu, a dopiero potem jego zwłoki przewieziono do piwnicy opuszczonego domu na dalekim przedmieściu.

Inspektor był całkowicie pewny, że Stawropulos maczał w tym palce, i przyrzekał sobie, że z czasem dobierze się do tego szczonego, który miał w policji lichą opinię, ale oficjalnie nie można było zarzucić. Dobierze się, na pewno się dobierze, tylko najpierw

musi wiedzieć, w co właściwie wpłatał się ten dureń Yveco, w imię czego działał, co to był za interes, dla którego warto było ryzykować życie? Wprawdzie tamtej nocy nikt nie widział byłego policjanta w barze „Pod Topolami”, ale Collins dałby sobie uciąć głowę, że ten spryciarz, jeden z najlepszych swego czasu wywiadowców, po prostu wszedł tam przez nikogo nie zauważony, być może nawet ucharakteryzowany i w przebraniu. No a później już nie wyszedł, tylko wyjechał, czy też raczej wyniesiono go nogami do przodu, wrzucono do bagażnika solidnej limuzyny i ruszył w nieznane, w towarzystwie równie martwego jak on Mobego.

Tak musiało być, chociaż inspektor, gdyby ktoś go o to zapytał, nie umiałby powiedzieć dlaczego.

Co innego, gdyby znał odpowiedź na pytanie w tym śledztwie podstawowe: z jakich mianowicie powodów Yveco musiał unieszkodliwić Dicka, który niewątpliwie był osobnikiem posiadającym niższy iloraz inteligencji od sławnego wieloryba, którego imieniem ochrzcił go jakiś dowcipniś? Czyżby strzegł on kogoś lub czegoś, stanął mu na drodze, dzięki czemu zakończył życie trochę jakby przedwcześnie? Tak, to mogło być możliwe, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę, że Moby, ten bezmózgi osilek, nie nadawał się do niczego innego i żaden boss nie zleciłby mu zadania wymagającego choćby odrobiny myślenia.

Tylko kogo lub czego Dick pilnował?

Sprawa miała też aspekt szerszy i nader interesujący. Bossem Mobego był Stawropulos, natomiast Yveco pracował podobno dla Czenga, typa spod ciemnej gwiazdy, którego każdy prawdziwy policjant chciałby mieć w swojej prywatnej kolekcji stuprocentowych sukcesów. Korzenie obu tych morderstw mogły zatem tkwić tak głęboko, że już głębiej nie trzeba. Jakież byłoby to piękne zakończenie kariery Collinsa, gdyby udało mu się przegwoździć do ziemi zarówno Greka, jak i amerykańskiego Koreańczyka, z którymi nikt dotąd nie mógł dać sobie rady! Odszedłby wtedy na zasłużoną emeryturę opromieniony blaskiem sławy najznakomitszego pogromcy morderców w historii policji australijskiej, a co ważniejsze w randze nadinspektora, z pensją blisko dwukrotnie wyższą od obecnej.

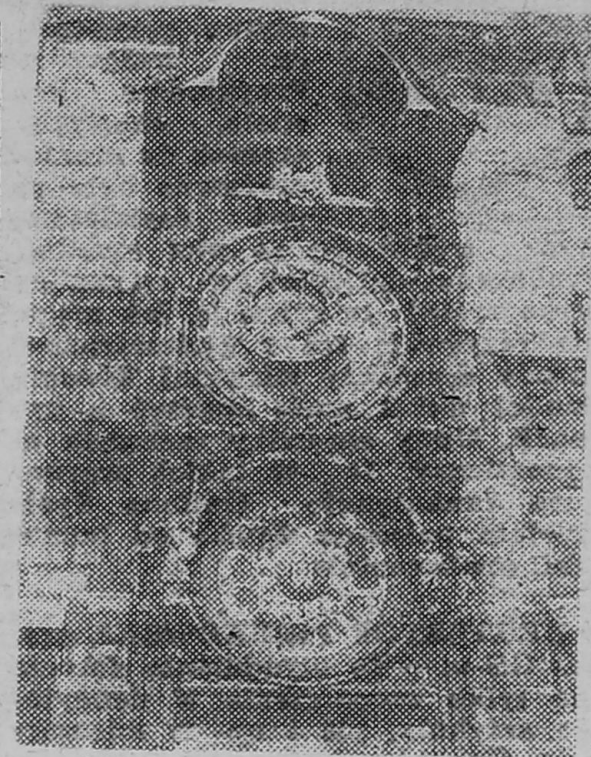
Niestety, cała ta konstrukcja myślowa opierała się jedynie na samych domniemaniach i przypuszczeniach, na podstawie których nikt nie sporządził aktu oskarżenia. Collins czuł, że kreśli się gdzieś w pobliżu sedna sprawy i, jak ten pies usiłujący złapać zębami własny ogon, na razie nie zbliża się do celu ani o centymetr. Czując na jakiś szczęśliwy przypadek, dzięki któremu zabłyśnie wreszcie światło w tym tunelu, sprawił nadał filuterny kryptonim „Bliznięta”, bowiem śmierć jest matką wszystkich ludzi i czyni z nich prawdziwych braci, a wedle opinii medycyny dwaj główni aktorzy dramatu, Yveco i Moby, zeszli z tego świata jeden po drugim mniej więcej w tym samym czasie.

Mając w ręku pieniądze, Jilli udała się do agencji detektywistycznej Slima Salinger, wyspecjalizowanej w sprawach damsko-męskich, a więc we wszystkim, co pomaga uwolnić się jednemu człowiekowi

— Pamiętaj, nie wychodź z domu bez pieniędzy — takiej rady udzielili przechodniowi złodzieje po napadzie na niego, pobiciu i zranieniu nożem. Ale by miał za co dojechać do szpitala, wręczyli mu trochę gotówki.

testament

B usko 60 000 dolarów zapisał w testamencie Jezusowi Chrystusowi pewien emerytowany nauczyciel z Portsmouth i polecił zainwestowanie tej sumy na 80 lat. Gdyby w ciągu tego czasu Jezus Chrystus pojawił się na Ziemi, społeczna rada powiernicza, na podstawie zadowalającego dowodu tożsamości, wypłacił Mu zapisany i powielony majątek, a jeśli się nie pojawił, cała suma przejdzie do skarbu Korony Brytyjskiej.



zdradliwe promienie

M ało kto wie o tym, że dawka promieniowania pochodząca od wszystkich świecących zegarków na świecie czterokrotnie przewyższa ilość wydzielaną przez elektrownie atomowe podczas normalnej eksploatacji. Najmocniej promieniają stare zegarki iluminowane radem. Dzisiejsze świecą trytem lub prometem 147 i wydzielają dużo mniejsze dawki.

Koszulki palnikowe turystycznych lamp gazowych zawierają radioaktywny tor, który powoduje żarzenie. Rozpowszechnione w milionach sztuk przeciwpożarowe wykrywacze dymu zawierają ameryk 241, należący do najbardziej trwałych izotopów. Promieniotwórczych izotopów używa się także w świetłówkach. Dawki pochodzące od wszystkich tych przedmiotów są jednak niskie.

Kolorowe telewizory to źródło promieni X. Na małą dawkę mogą liczyć tylko ci, którzy oglądają program w odległości ponad 2 metrów od odbiornika.

Ale ilość wchłanianego przez nas sztucznego promieniowania to nic w porównaniu z tym, co otrzymujemy z naturalnych źródeł znajdujących się w skorupie ziemskiej i przestrzeni kosmicznej.

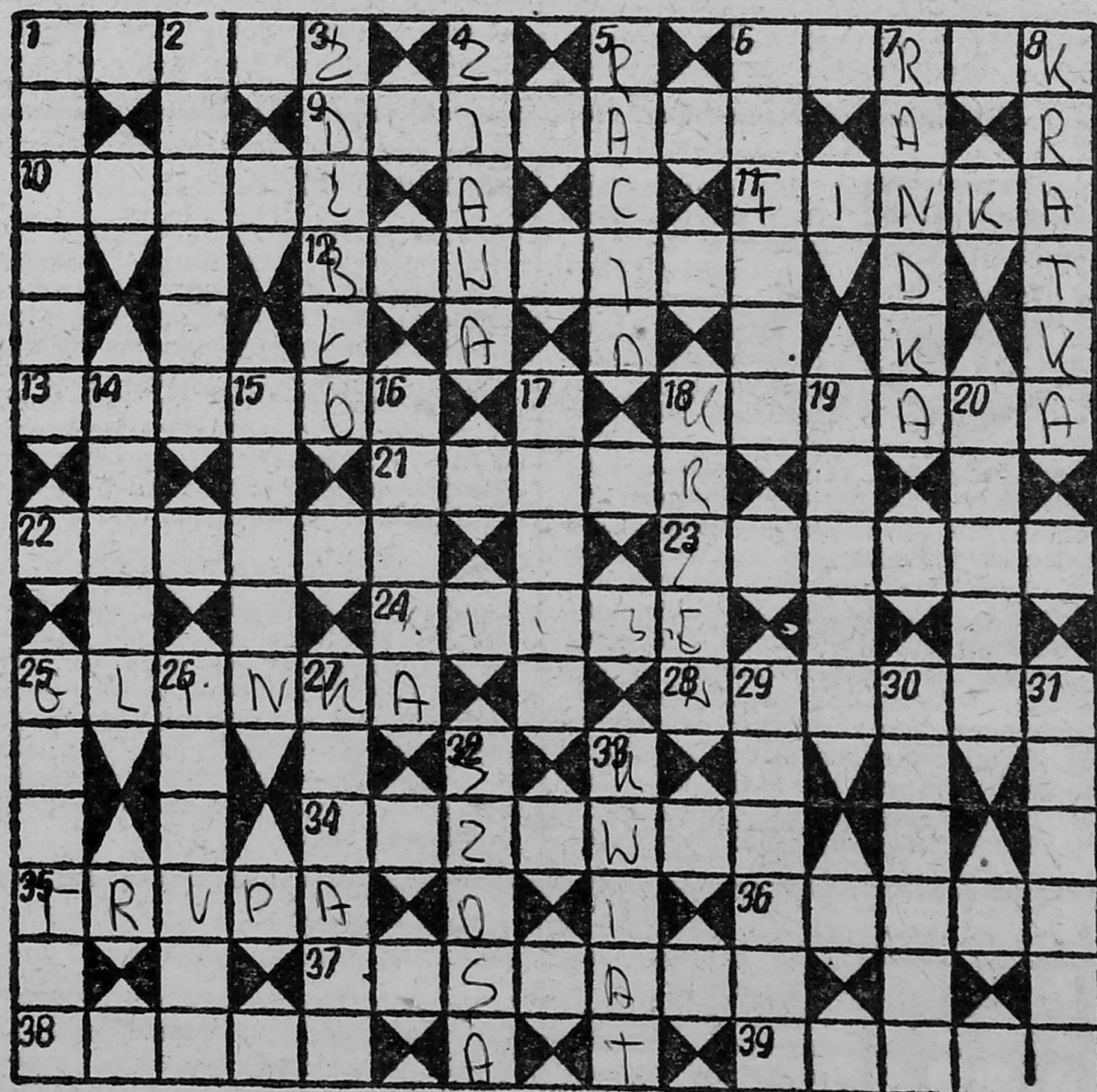
szklanka herbaty

T eina, substancja zawarta w herbacie, jest w zasadzie odpowiednikiem kofeiny, wchodzącej w skład kawy. Aby herbata rzeczywiście pobudzała, a nie rozdrażniała, musi być w odpowiedni sposób przygotowana; nie może np. naciągać dłużej niż 5 min., bo staje się gorzka przez zbyt dużą ilość garbników.

Herbata przewyższa kawę pod względem niektórych właściwości. Nie słodzona — jest starym domowym środkiem na biegunkę, odciąża bowiem wodę z przewodu pokarmowego.

w pionie

W Melbourne (Australia) istnieje Towarzystwo Zwolenników Pionowych Pogrzebów. Nie wiadomo, czy korzysta ono z patentu Alfreda Schmitza na pionowe chowanie zmarłych, które ma na celu zaoszczędzenie miejsca na cmentarzach. By zapobiec osunięciu się zwłok na dno trumny, wyposaża się ją w wyprofilowane, umocowane w kroku i pod pachami, plastikowe kliny. Ponadto zawiera wentyl, który zapobiega wzrostowi ciśnienia od płynów i gazów wewnątrz niej.



POZIOMO: 1) część wielkiego płotu, 6) podłużny owoc roślin motylkowych, 9) stróż, 10) odległość od końca kciuka do małego palca, 11) nóż harcerski, 12) brzośnica, 13) droga rzeźna do połowu krewetek, 18) instrument muzyczny popularny w starożytnej Grecji, 21) imię męskie, 22) małe, szkrab, 23) protoplazma, 24) rodzaj abażura wiszącej lampy, 25) rodzaj pudru, białidło, 28) niedozwolony chwyt w zapasach, 34) sądowy lub kanalizacyjny, 35) wędrowną grupą teatralną, 36) krylica, źródło, 37) dostarczenie towaru do sklepu, 38) dusigrosz, 39) efemeryda. PIONOWO: 1) zarządzający żupą, 2) nitkowaty organ ruchu u glonów, 3) część trawy, 4) diabeł, szatan, 5) słuszne rozszerezenie, przywilej, 6) słynny samochodowy rajd afrykański, 7) spotkanie z sympatią, 8) niejedna w tej krzyżówce, 14) roślina wodna o lancetowatych liściach, 15) późniejszy od hrabiego, 16) polecenie, 17) możliwość kaszarski, 18) jeszcze nie drzewo, 19) cieplica, 20) tytuł lokalnych władców w Indiach, 25) nasz słynny dąb, 26) imię króla polskiego, 27) coś z białej broni, 29) gatunek, odmiana, typ, 30) zmyślony powód podany dla wprowadzenia kogoś w błąd, 31) zaprzęg 3-konny, 32) asfaltowa droga, 33) gerbera, róża, (HCL) Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

zwierzę gigant

K rowa jak słoń, prosić jak krowa... Jeszcze dziś znajduje się w sferze fantazji, ale jutro? Wstrzykując do zapłodnionego jaja myszy zmodyfikowane ludzkie hormony wzrostu naukowcy wychodzą z gryzonie trzykrotnie większe od żyjących. Możliwość przyspieszenia przyrostu masy mięsnej także innych zwierząt zajmuje teraz

uwagę genetyków. Doświadczenia prowadzi się na krowach, owcach i prosiętach. W USA eksperymentowi poddano przeszło 2000 macior w nadziei na to, że ok. 20 proc. nowej generacji urośnie wagowo przynajmniej dwukrotnie. Przewiduje się też, że trzoda chlewna będzie uzyskiwać wagę ubojową nie po 6, lecz po 3 miesiącach.

marsz po zdrowie

K iedy przed dwoma laty „ojciec” joggingu, James Fix, autor książki o dobrodziejstwach codziennych „maratonów”, zmarł na zawał na trasie „wybiegu”, zwolennicy biegania przeżyli wstrząs. Co raz rzadziej widuje się dziesiątki oczekujących potem porannych biegaczy, a w amerykańską codzienność wkracza walking, czyli chodzenie. Liczne magazyny, podręczniki, kasety video, polecane przez specjalistów, uzasadniają teraz dobrodziejstwo chodzenia, które wzmacnia system naczyniowo-sercowy i funkcje płuc oraz przyczynia się do utraty nadwagi. Specjaliści podkreślają, że walking działa podobnie jak aerobik i jogging, jest natomiast znacznie zdrowszy i mniej wyczerpujący; 40—50 minut spaceru energicznym krokiem daje tyle, co 20—30 minut jogingu. Ostatnio opublikowany raport stwierdza, że starsza osoba, która przemierza dziennie drogę nie większą niż zajmuje pięć bloków mieszkalnych, jest sprawniejsza fizycznie od siedzącej w domu. Atutem walkingu jest taniość tej formy sportu, nie wymagającej specjalnego obuwia, opłat klubowych, ekwipunku i instruktorów.

Ale przemysł sportowy nie ucierpi na regresie jogingu. Zrekompensuje straty renesansem rowerów, zyskujących coraz więcej zwolenników w każdym wieku.



MĘSKI-ZEŃSKI

M ężczyźni są fizycznie silniejsi od kobiet i więcej ważą (choć nie zawsze), ale ich skóra starzeje się o 10 lat później niż u kobiet, co jest chyba swoistą rekompensacją za krótsze życie. Jenny Barr Stamp, autorka książki o różnicach obu pici, twierdzi również, że mężczyźni częściej zachodzą się od kobiet, ale kobiety częściej rozczarowują się do swych

życiowych partnerów. Słaba pleć lepiej pływa, rzadziej choruje na zapalenie płuc oraz jest mniej podatna na choroby serca i hipertonię, natomiast częściej dosięga ją rozstrój nerwów lub obsesje w rodzaju klaustrofobii czy lęku przed myszami lub pajakami. Choć mężczyźni palą w zasadzie więcej niż kobiety, to jednak damom trudniej wyzbyć się nałogu.

TANIE DANIE

zapiekanika z grzybów i kapusty

Produkty: 0,5 kg pieczarek, mała główka kapusty białej, 10 dkg tłuszczu, duży kwaszony ogórek, duża cebula, łyżka pasty pomidorowej, 2 listki laurowe, pół łyżki cukru, łyżka masła lub oleju, łyżka tartego bułki, pieprz, sól.

Kapustę oczyścić, opłukać, poszatkować, włożyć do rondla, dodać olej lub masło, podlać wodą i uduśić. Na 15 min. przed końcem duszenia dodać pastę pomidorową, pokrajane ogórki, cukier, sól, pieprz i liść laurowy. Obrane grzyby umyć, pocinać w paski i obsmażyć na tłuszczu wraz z cebulą pokrajaną w drobna kostkę. Połowę kapusty wyłożyć na patelnię, przykryć warstwą grzybów i pozostałą kapustą, posypać tartą bułką, skropić masłem i zapiec w piekarniku.

bójka na ekranie

G dyby nie telewizyjny ekran, bijatyka na trybunach uszlaby na sucho młodemu Anglikowi, Charlesowi Hainsworthowi. Mecz ten i całą awanturę oglądała jego matka, która natychmiast po powrocie syna do domu zmusiła go do pójścia na policję i złożenia wyczerpujących zeznań.

Wystawiają pod węgłami stragan pod trzmiastką



WIEŚCI GRODZKIE



Zaopatrzenie sklepów w artykuły codziennego użytku przypomina huśtawkę. Przykładów jest wiele, chociażby proszek do prania: niedawno było go pod dostatkiem,

teraz trzeba się za nim uganiać. Producenci deficytowych artykułów wykorzystują tę sytuację, jak mogą, nie rezygnując też z nieśmiertelnej zasady sprzedaży wiązanej. Słowem handel wciąż może marzyć o sytuacji, kiedy rządziłby rachunek ekonomiczny. Ja w takich warunkach funkcjonuje Gminna Spółdzielnia położona daleko od hurtowni, producentów.

KRZYSZTOF PIENKOWSKI, prezes GS-u: — Te utrudnienia dotyczą nie tylko zaopatrzenia w deficytowe artykuły, ale i np. w mleczarskie. Goniadz położony jest 11 kilometrów od mleczarni monieckiej i 36 — od grajewskiej. Jednak granice województwa decydują o tym, że musimy zaopatrywać się w dalekiej połonynie Grajewie. Dostawa jest raz dziennie. Jeśli w ciągu dnia czegoś zabraknie, nie ma mowy o uzupełnieniu. W Grajewie poradził, aby w takiej sytuacji telefonować do Moniek po tzw. dostawy interwencyjne. Skorzystaliśmy raz z tej rady, ale uszyliśmy, że na dostawę nabiału trzeba składać zamówienia trzy dni wcześniej. Mamy niedaleko do wytwórni serów złotych w Dolistowie. Nie otrzymujemy ich jednak stamtąd. Zanim do nas trafia, muszą odbyć drogę do Grajewa. Nasza spółdzielnia nie ponosi, co prawda, kosztów tego wozu, ale liczy się to w budżecie państwa.

My jesteśmy zainteresowani jakością nabiału, a tej, jak wiadomo, długie transporty nie służą. Aby ośmielić naszych kierowników sklepów do składania większych zamówień na artykuły nabiałowe, proponowaliśmy OSM w Grajewie, że będziemy w połowie pokrywali koszt nie sprzedanego nabiału. Niestety, nie przystali na naszą propozycję. Szczególnie uciążliwe jest oddalenie od hurtowni. Obowiązuje, co prawda, procentowy rozdział towarów w zależności od liczby ludności, ale ci, którzy mają bliżej, zawsze mogą coś uszczknąć ponad rozdziałnik. My natomiast mamy trudności z otrzymaniem pełnego przy-



wane zostanie zaplecze Rejonowej Kolumny Transportu Sanitarnego. Trwa remont kapitalny przychodni rejonowej. Zadanie jest o tyle trudne, że prowadzony jest on bez zamknięcia przychodni. W części pomieszczeń zostały wymienione stropy, zainstalowano centralne ogrzewanie, wymieniono instalacje: wodociągowa, kanalizacyjna, elektryczna. W odnowionych pomieszczeniach znalazły lokum: poradnia K, gabinet stomatologiczny i internistyczny. Mają tu swoją siedzibę pielę-



W sezonie turystycznym i w dniach przedświątecznych wzrasta ruch na trasie Warszawa — Augustów. Lecz o restauracji w Rajgrodzie nie informuje żadna tablica. Jeśli się już ją znajdzie, odpychające wrażenie wywołuje bar pełen pijących piwo mężczyzn. Dopiero kiedy podróżny zdecyduje się zjeść posiłek, okazuje się, że dania są smaczne i tanie.

MARIA KTAUŻLIS, kierowniczka restauracji: — Rzeczywiście sa-

GONIADZ

działu. Jeszcze do niedawna tak było z margaryną. Była wszędzie, tylko nie u nas. Po interwencjach w ZOAPIS-ie problem został rozwiązany.

Często uszczęśliwiani jesteśmy bublami. Po prostu w fakturze wypisany jest atrakcyjny towar i jednocześnie niechodliwy. Bronimy się przed tym i uczulamy na to kierowników sklepów, aby odmawiali przyjmowania takich dostaw. Jeśli otrzymamy sygnał o takiej sytuacji, zaraz interweniuje u dyrektora Cymka w Zakładzie Gospodarczym w Grajewie. Przykład? Zupy w proszku to pełnowartościowy artykuł, ale dostarczane w ilości kilkuset sztuk do małego sklepu na wsi stają się buble. Wykorzystujemy sąsiedztwo hurtowni w Białostoku, lecz musimy się godzić na to, że będziemy załatwieni jako ostatni. Niektóre artykuły udaje się nam jednak dostać. Np. w Łomży nie ma pasty „Sama” do szorowania, u nas można ją kupić bez kłopotu. Próbowaliśmy nawiązywać kontakty z producentami w innych częściach kraju, często jednak zamiast rozmawiać odsyłają nas do hurtowni. Z ostatnich sukcesów można odnotować zakup proszku.

Myszę, że nasze wysiłki widoczne są w wynikach finansowych. W ciągu trzech kwartałów sprzedaliśmy artykuły za 282 mln złotych. Ale Gminna Spółdzielnia zaopatruje nie tylko w artykuły spożywcze, odpowiadamy również za to, co rolnik może kupić z potrzebnych mu artykułów do produkcji rolnej. Mamy w tej dziedzinie wnioski, które mogłyby usprawnić zaopatrzenie, ale, jak dotąd, pozostają one bez echa. Nawozy sztuczne dostarczane są często luzem. Trudno znaleźć na nie nabywców, marnują się w transporcie i w czasie przechowywania, a wystarczyłoby je granulować. Proponowaliśmy utworzenie placówki Spółdzielni Transportu Wiejskiego w Osowcu. Bliżej by było wozić ze stacji kolejowej nam i gminnym spółdzielniom w Radziłowie i Trzciannem. Ale nie było na to zgody. Korzystamy z bocznicy kolejowej w Mońkach i z usług tamtejszej STW. Mimo że towary były wożone na mniejsze odległości, musieliśmy płacić drożej niż usługobiorcy z województwa białostockiego.

GRAJEWO

gniarki środowiskowe. Po zakończeniu remontu urządzona zostanie przychodnia dla dzieci zdrowych i chorych. Do budynku nie wróci już protezownia. Adaptowane są na nią pomieszczenia laboratorium, dotychczas wykorzystywane na magazyny. W dziale technicznym grajewskiego ZOZ-u podkręcają, że sprawne przeprowadzenie remontu to zasługa firm rzemieślniczych.

Grajewski szpital przygotowuje się do uruchomienia oddziału dializ. Jak wiadomo, jest to dar biskupa łomżyńskiego. Na razie nie jest znany ostateczny termin otwarcia oddziału, ale — według informacji szefa działu technicznego szpitala w Grajewie — chorzy będą mogli korzystać ze sztucznej nerkki w lipcu przyszłego roku.

RAJGRÓD

la barowa odstrasza konsumentów. Niestety, został w Rajgrodzie zamknięty bar i jego klientela przeniosła się do nas. Mój wniosek, aby oddzielić przepierzeniem tę część restauracji, pozostaje bez echa. Oprócz pyz z mięsem nie używamy innych mrożonek. Pozostałe dania przygotowujemy tak, jak gospodynie w domu. Ceny też chyba nie są wygórowane. Mięso drugie danie z surówką można zjeść za 70 złotych. Z reklamą rzeczywiście nie jest dobrze. Była kiedyś tablica, ale po likwidacji hotelu została zdjęta.

Osoby znające przepisy kodeksu ruchu drogowego, obserwując porzeczanie łomżyńskich kierowców, szczególnie samochodów osobowych, zapewne niejednokrotnie czują, jak im włosy na głowie stają dęba z przerażenia, lub zaciskają ręce z wściekłości. Nerwowy śmiech też nie jest wykluczony. „Łomżyńska metoda” skręcania w lewo polega na zjechaniu na prawo, by następnie szerokim, zamasytym łukiem skręcić w lewo. W prawo lub w lewo najchętniej na Ziemi Łomżyńskiej skręca się bez uprzedzenia innych kierowców o swym zamiarze. Ci, którzy bywali w innych rejonach kraju, stosując metodę polowiczną — włączając migacz w momencie wykonywania manewru, gdy zamysł kierowcy już dla nikogo nie jest tajemnicą. Na trzeźwo jeżdżą zamykając zbyt wolno, po pijanemu — dość często i niebezpiecznie szybko. O zachowaniu się na rondzie, o wymyślnych, niezgodnych z przepisami lub zdrowym rozsądkiem sposobach parkowania można by napisać sporo. Jeszcze więcej — o skutkach. Nie ma tygodnia bez wypadków, mniej lub bardziej groźnych w skutkach. Oto kilka typowych przykładów z ostatnich dni.

Mieszkaniec wsi Kulesze Podawce na łuku drogi w pobliżu Guni najechał na przemykającego Samochód się wywrócił, a jego uszkodzenia oszacowano na 300 tysięcy zł. Pasażerka zwichnęła prawą rękę, a kierowca ze zlaną lewą uciekł z miejsca wypadku i dobrze ukrył przed milicją.

Roman K. najechał mercedesem na wóz konny załadowany siano. Woźnica i jego żona odnieśli obrażenia, mężczyźni m.in. pękła kość miednicy, kobiecie — żuchwa.

Mirosław G. jadący ul. Świerczewskiego w kierunku osiedla Jantar nie dał pierwszeństwa przejazdu Eugeniuszowi R. kierującemu syreną i doszło do zderzenia.

Na prostym odcinku asfaltowej suchej nawierzchni skoda kierowana przez 19-letniego Roberta R. z Łomży wpadła w poślizg w czasie hamowania we wsi Jezioro i wpadła do rowu.

Mieczysław Ch. z Kąt na trasie Jednaczewo—Łomża jechał z nadmierną szybkością, stracił panowanie nad pojazdem i uderzył w przydrożne drzewo. Dwaj pasażerowie, N. i B., doznali ciężkich obrażeń ciała i zostali przewiezieni do szpitala, a pijany i niepoturbowany kierowca — do aresztu. Jazdnia była sucha, prosta, a widoczność — dobra.

Przy równie dobrych warunkach atmosferycznych Andrzej S. z Łomży nie zachował ostrożności i potrącił idącego pobożem drogi mieszkańca Szczuczyna.

Śmierć na miejscu poniósł Teofil Sz. ze wsi Konopki Monety, który wtargnął nagle na jezdnię z przyczepy ciągnika.

Siedemnastoletni Zbigniew S. doznał wstrząsu mózgu po potrąceniu przez samochód osobowy, który nie zatrzymując się odjechał w nieznanym kierunku.

We wsi Zakrzewo-Nowa (gm. Zambrow) z pastwiska oddalonego od zabudowań gospodarczych o około 700 metrów skradziono dwie jałówki.

Matgorzacie M. podczas pracy (MPGKiM w Łomży) z torebki, wiszącej na oparciu krzesła, zginęła portmonetka z 60 000 zł i 4 dolarami.

Lucynie L., sześćdziesięcioletniej mieszkance Gdańska wsiadającej na dworcu PKS w Łomży do autobusu jadącego do Zambrowa, skradziono torebkę, w której było 14 000 zł w gotówce i 330 tysięcy zdeponowanych na książeczkach oszczędnościowych oraz złota biżuteria w postaci pierścionka, obrączki i łańcuszka.

Zygfryd Ch. koło wsi Obiedzino (gm. Kolno) pobił swego 62-letniego brata, Henryka, łamiąc mu m.in. dwa zęby. Na razie Zygfryd Ch. ukrywa się przed milicją.

Kierownik punktu skupu ziemiaków w Trzciannem został oskarżony o picie alkoholu w godzinach pracy. Sąd Rejonowy w Grajewie warunkowo umorzył postępowanie, wyznaczając roczny okres próby, oraz zobowiązał oskarżonego do zapłacenia 50 tysięcy zł na Stowarzyszenie Pomocy Mieszkaniowej dla Sierot.

30-letni kawaler z Łomży, Ireneusz K., wyłudził 4 kartki zaopatrzeniowe.

Dozorca na budowie nr 2 w Zambrowie, Kazimierz K., został przyłapany na nielegalnym posiadaniu dwóch ościeżnic metalowych stanowiących własność LPB. Ościeżnice zostały mu przez funkcjonariuszy MO odebrane, a on sam przekazany do dyspozycji prokuratora, czyli — inaczej mówiąc — tymczasowo „pod klucz”.

W tygodniu nagłego ocieplenia i poprawy warunków atmosferycznych bardzo uaktywnili swą działalność włamywacze. Do szkoły podstawowej w Raciborach wkradł się znany już organom ścigania złodziej, który ukradł 5000 zł i 15 kompasów. Przez otwarte drzwi balkonowe do mieszkania przy ul. Obrońców Zambrowa w Zambrowie złodzieje weszli i wyszli z łupem wartości 294 dolarów USA i 6000 złotych. W kiosku spożywczym w Toczylowie nocą ktoś gratisowo za-

Z KRONIK MO

opatrzył się w potrzebne artykuły domowego użytku: dziecięcą piżamkę i sukieneczki, 5 zegarków „Zaria”, 4 wody toaletowe, po 5 słoików bigosu i śledzi, 33 — wolewiny, 200 konserw „Sardynka w oleju”, 9 kg cukierków czekoladowych i 1500 zł. Po wybiegu szyby w oknie sklepu nr 32 przy ul. Bucza złodzieje zabrali 81 butelek wina, 10 paczek herbaty oraz 11 — cukierków i 5 — ciastek, a także 2 słoiki korniszonów i 5 kompotów truskawkowych. Z szopy parafii w Drozdowie ukradziono silnik elektryczny do śrutownika. Do mieszkania Macieja G. w Zambrowie przy ul. Przyszpitalnej wszedł, po wyłamaniu zamka, złodziej, który pokrocił się tylko po pokojach i wyszedł. W regale, na widocznym miejscu, pozostały nietknięte pieniądze i złota biżuteria.

Doręczyciel Urzędu Pocztowego w Kobylinie Borzymach podejrzanym jest o zagarnięcie 12 600 zł, które miał przekazać Czesławowi B.

Rolnik po siedemdziesiątce ze wsi Ruskołęki Stare rąbnął swego krewniaka młotkiem ślusarskim w głowę. Na tyle szczęśliwie, że zaatakowany przeżył, o tyle niefortunnie, że dostatecznie silnie, by nieopanowanym staruszką zajął się organa ścigania.

Śmierć przez powieszenie się zadał sobie 26-letni Henryk P., będący w głębokiej depresji psychicznej po śmierci żony i dziecka.

Jerzy M. z Choroszczy odwiedził rodzinę zamieszkałą w Rydzewie (gm. Rajgród). O 6.00 wypił przyniesioną z sobą butelkę denaturatu i zasnął przy stole. Gdy gospodarze wrócili z obrządku, stwierdzili, że gość już nie żyje.

Prokurator rejonowy w Łomży tymczasowo aresztował Tadeusza M. za napad rabunkowy. Ten ślusarz, zatrudniony w jednym z prywatnych warsztatów, był w 1974 r. ukarany przez Sąd Wojewódzki w Warszawie na 8 lat pozbawienia wolności za podobny czyn.

W Poredach do mieszkania Jadwigi S. dokonano włamania. Sprawca spenetrował dokładnie pomieszczenia i wyniósł 20 000 zł, 1700 dolarów USA i 300 dolarów kanadyjskich. Pies tropiący zatrzymał się przy zabudowaniach Ryszarda S. ukradziony pieniądze milicjanci tak nie znaleźli, natomiast ich zainteresowanie wzbudził szklany garlon z 40 litrami „mętnego płynu o zapachu spirytusu domowej produkcji”. Producent stanął w trybie przyspieszonym przed sądem.

wieści gminne

WIZNA. W ubiegłym tygodniu, z czwartku na piątek, ktoś włamał się do punktu kasowego Banku Spółdzielczego w bazie magazynowej Gminnej Spółdzielni. Złodzieje pozbili dozorcę, starszą kobietę, która weszła do pomieszczenia o drugiej w nocy, aby napalić w piecu. Nie udało się im sforsować drzwi do kasy pancernej, zniszczyli natomiast telefony i inne sprzęty.

* Złodzieje nie działaliby zapewne tak śmiało, gdyby stała nocna kolejka po węgiel. Mimo że nadal go brakuje, nie ma już chętnych do marznienia. W bilansie paliwowym wygląda to optymistycznie: w ponad stu proc. została zrealizowana przydział węgla dla gminy. Ale przydział to około 60 proc. potrzeb. Bez kolejk jest brykiety, lecz rolnicy twierdzą, że nie nadaje się on do palenia w piecach, a jedynie w parnikach (smoły wytwarzające się w czasie spalania zatykają podobno przewody kominowe).

* Huśtawka zaopatrzeniowa trwa. Bez kłopotu można w magazynie dostać poszukiwany gdzie indziej prowit, a mieszkanka B już zaczyna nalegać.

* Czy zniknie wreszcie błoto z placu magazynowego GS-u w Wiźnie? Wątpliwa nadzieja. Dotychczas wystarczyło pieniędzy jedynie na wybetonowanie placu, na którym składowane są nawozy sztuczne.

* Z zadowoleniem mieszkańców Wizny spotkało się przejście handlu alkoholem przez PHS. Teraz wybór trunków jest większy, łatwiej o lepsze wino i niskoprocentowe nalewki. Ciągłe prawdziwy jest fakt, że najlepsze gatunki win można dostać w

najbardziej oddalonych „od szosy” wsiach.

TRZCIANNE. Schody z lastrika, niemal rzeźbione barierki balkonów — to normalny widok w Trzciannie. Tyle że z tych schodów wchodzi się wprost w błoto, bo tak jeszcze ciągle wygląda główna ulica. Ale chyba już niedługo. Pod okiem fachowca z Rejonu Dróg Publicznych w Grajewie mieszkańcy w czynie społecznym usuwają stare krawężniki, w ich miejsce ułożą nowe, a ulica otrzyma nawierzchnię asfaltową.

* Rozbudowa budynku Urzędu Gminy nie oznacza, że zwiększyła się tu liczba etatów. Chodzi o to, aby w jednym miejscu znalazły się wszystkie ~~usługi~~ Urzędu. Zakończenie przebudowy wraz z remontem kapitalnym istniejących pomieszczeń zaplanowane jest na koniec listopada przyszłego roku.

* Jest wreszcie dokumentacja na budowę apteki w Trzciannie (miała być w kwietniu). Apteka będzie budowana w czynie społecznym, tzn. wartości prac, które powinni wykonać mieszkańcy, nie może być mniejsza niż 20 proc. kosztów inwestycji. Chęć uczestniczenia w niej zgłosili już ZBoWiD-owcy.

* Mieszkańcom gminy nie brakuje kontaktów ze światem. Prawie w każdym domu następnym tematem po zdrowiu są wyjazdy do Ameryki. Trzciannie odwiedzają też goście z daleka. W ubiegłym czwartek zbiorowy grób żołnierzy radzieckich odwiedziły dwie moskwianki, których członkowie rodzin polegli tu podczas II wojny.

Sąd Rejonowy w Łomży prawomocnym wyrokiem z dnia 9 września 1986 r. skazał Barbarę Niewiarowską, zd. Strucińską, c. Czesława i Zofii, ur. 10 grudnia 1947 r. w Janczewie, zam. Kupiski Stare, gm. Łomża, z art. 43, ust. 1 ustawy z dnia 26.10.1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi na karę 60 000 zł grzywny za to, że w miesiącu sierpniu 1986 r. zakupiła w celu odsprzedaży z zyskiem 15 butelek wódki, z czego jedną bez wymaganego zezwolenia sprzedała za sumę 900 złotych.

K-394

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży orzeczeniem nr A-388/86 z dnia 21 kwietnia 1986 r. ukarało Janinę Kłosińską, c. Kazimierza, ur. 25.09.1945 r., zam. Podgórze, karą grzywny w wysokości 21 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 42 dni aresztu oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranej za to, że w dniu 24 stycznia 1986 r. ok. godz. 23.30 bez zezwolenia uiszczenia należności wyłudziła przejazd z Łomży do Podgórza taksówką osobową wiedząc, że przejazd jest płatny.

K-397

Kolegium ds. Wykroczeń przy Wojewodzie Łomżyńskim utrzymało w mocy orzeczenie Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży, które ukarało Włodzimierza Księżopolskiego, s. Adama, ur. 31.05.1951 r., zam. Łomża, karą grzywny w wysokości 31 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 62 dni aresztu oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranej za to, że w dniu 13 marca 1986 r. w Łomży zabrał w celu przywłaszczenia pieniądze w kwocie 3750 zł na szkodę Ł. S.

K-398

Kolegium ds. Wykroczeń przy Wojewodzie Łomżyńskim utrzymało w mocy orzeczenie Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży, które ukarało Jerzego Truszkowskiego, s. Stanisława, ur. 22.06.1953 r., zam. Mężenin, karą grzywny w wysokości 25 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 50 dni aresztu oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranej za to, że utrzymuje dwa buhaje n.c.b. w wieku 2 lata o wadze 400-500 kg, którymi kryje własne krowy oraz sąsiadów. Od początku roku do dnia lustracji tj. 6.05.1986 r. we wsi Mężenin nie nasieniono ani jednej sztuki uznanych formami zarodu. Pomimo organizowanych raz na kwartał masowych spędów kastracyjnych rolnik buhajów nie wytrzebił. Jest to naruszenie przepisów hodowli z dnia 2 grudnia 1960 r.

K-420

Kolegium ds. Wykroczeń przy Wojewodzie Łomżyńskim utrzymało w mocy orzeczenie Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży, które ukarało Zdzisława Markowskiego, s. Zygmunta, ur. 9.02.1946 r., zam. Łomża, karą grzywny w wysokości 40 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 40 dni aresztu, zakazem prowadzenia pojazdów mechanicznych i innych na okres 36 miesięcy oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranej za to, że w dniu 1 kwietnia 1986 r. w Łomży ok. godz. 18.45 na skrzyżowaniu ul. Świerczewskiego i Poznańskiego kierując samochodem nie ustąpił pierwszeństwa przejazdu dla samochodu jadącego ul. Świerczewskiego, będącą ulicą z pierwszeństwem przejazdu, oraz nie zatrzymał się do kontroli drogowej na wyraźnie podany znak przez społecznego inspektora ruchu drogowego.

K-421

Sąd Rejonowy w Łomży prawomocnym wyrokiem z dnia 7 października 1986 r. skazał Jana Marcinkiewicza, s. Aleksandra i Stanisławy, ur. 15 grudnia 1965 r. w Łomży, zam. Łomża, ul. Jakuba Wagi 2/3 z art. 208 kk. na karę 1 roku i 6 miesięcy pozbawienia wolności, 70 000 zł grzywny oraz konfiskatę mienia w całości za to, że w nocy z 16 na 17 kwietnia 1986 r. w Łomży dokonał włamania do samochodu osobowego, a następnie zabrał w celu przywłaszczenia pieniądze oraz przedmioty łącznej wartości około 20 000 zł.

K-422

WOJEWÓDZKI SZPITAL ZESPOLONY W ŁOMŻY ZATRUDNI NATYCHMIAST

w nowo budowanym Szpitalu Wojewódzkim w Łomży przy ul. Gwardii Ludowej:

1. Kierownika kotłowni — wyższe lub średnie techniczne wykształcenie, zaświadczenie kwalifikacyjne serii D w zakresie kotłów wysokoprężnych i urządzeń z nimi współpracujących.

Zapewniamy mieszkanie w budownictwie wielorodzinnym.

2. Mistrza zmianowego kotłowni — wykształcenie średnie techniczne — zaświadczenie kwalifikacyjne serii E lub D w zakresie kotłów wysokoprężnych i urządzeń z nimi współpracujących.

3. Palaczy kotłów wysokoprężnych — zaświadczenie kwalifikacyjne serii E w zakresie kotłów wysokoprężnych.

4. Pomocników palaczy — roczny staż przy obsłudze kotłów wysokoprężnych.

5. Elektryków — zaświadczenie kwalifikacyjne serii E bez ograniczeń napięcia i E do 1 KV.

6. Elektryków — automatyków.

7. Operatorów urządzeń stacji uzdatniania wody — zaświadczenie kwalifikacyjne E w zakresie obsługi urządzeń stacji uzdatniania wody.

8. Osoby niewykwalifikowane do obsługi urządzeń nawęglających i odżużlających.

Warunki pracy i płacy do uzgodnienia bezpośrednio na budowie Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Łomży przy ul. Gwardii Ludowej, tel. 62-63 wew. 19, lub w Dziale Służb Pracowniczych, w budynku szpitala przy ul. M. C. Skłodowskiej 1, tel. 24-01 wew. 214.

Wyrazy
głębokiego współczucia

kol. MARIANOWI
KOŁAKOWSKIEMU

z powodu śmierci

M a t k i

składa Dyrekcja i współpracownicy WDI w Łomży.

K-426

Wyrazy
głębokiego współczucia

inż. JERZEMU TADAJOWI

zastępcy dyrektora Zakładu
Budownictwa WZSR

z powodu śmierci

O j c a

składają: Zarząd i pracownicy WZSR „Sch” w Łomży.

15

KONTAKTY
1986-11-16

ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża. Telefon 42-43 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji) Telex 85-22-85. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Białostockie Wydawnictwo Prasowe 15-859 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne Zam. 1807/86 r. Nakład 21 300 egz. Pl. ISSN 0208 6840. Nr indeksu 36 328. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty” 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata: kwartalnie — 185 zł półrocznie — 390 zł rocznie — 780 zł. Zamówienia i zmiany tytułów — 185 zł. Zastrzeżenie: redakcja nie zwraca i zastrzeżenie sobie praw autorskich i innych.

KONTAKTY

11.13

CZWARTEK
PROGRAM I

16.25 Dla młodych widzów: „Reporter TDC”. 16.50 „Był sobie kosmos” — franc. serial animowany. 17.15 „Telexpress”. 17.40 „Piłkarska kadra czeka”. 18.05 „Dąbrowa nad Ebro” — program historyczny. 18.30 „Sonda”. 19.00 Dobranoc. 19.10 Encyklopedia kultury polskiej. 19.30 Dziennik. 20.15 Teatr Sensacji: M. Fratti — „Obsesje”. 21.40 „Klub międzynarodowy”. 22.20 Kronika MS w podnoszeniu ciężarów.

PROGRAM II

17.30 „Kolacja po japońsku”. 18.00 Program lokalny. 18.30 „Dunajczyk kocił” — rep. 19.00 IX Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego — relacja z I etapu. 19.30 Dziennik. 20.15 Goście Orkiestry PR i TV pod dyr. A. Ducza. 21.30 „Variate, variete”. 21.50 „Pod nieobecność malarza” — film franc.

PIĄTEK
PROGRAM I

16.25 Dla młodych widzów: „Rambit” — teleturniej. 16.50 „Piątek z Pankracym”. 17.15 „Telexpress”. 17.30 „Bez próby”. 18.40 „Mieszkać” — wszechświat budowlany. 19.00 Dobranoc. 19.10 „Losy”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Monitor Rządowy”. 20.30 „Przygłoszenie” — dramat ZSR. 21.55 Kronika MS w podnoszeniu ciężarów i relacja z półfinału Turnieju bokserskiego im. F. Stamma. 22.15 „Korporacja zbrodni” — ang. serial dokument.

PROGRAM II

17.30 „Jak uprawiać sport”. 18.00 Program lokalny. 18.30 „Muppet show, czyli rewia gwiazd”. 18.55 „Bieszczady, Bieszczady” — program rozrywkowy. 19.30 Dziennik. 20.00 „Galeria świata” — „Luwr”. 20.35 Śpiewa Marek Grechuta. 21.05 „Uwaga, dokument”. 21.45 „Opowieści księżycowe” — jap. film fab. 22.30 „Rozmowy intymne”.

SOBOTA
PROGRAM I

9.00 Dla młodych widzów: „Drops” oraz film „Jazon z gwiazdowego patrolu”. 10.40 Razem ze Studiem I — „Uszka”. 11.10 „Stare, nowe, najnowsze”. 12.20 „Zaczarowana wyspa” — grecki film dokum. 13.00 „Barlery”. 14.00 TV koncert zyczeń dla honorowych krwiodawców. 14.30 Wojskowy program dokumentalny. 15.05 Teatr TV: K. Krotz — „Górna Austria”. 17.05 Losowanie Dużego Lotka. 17.15 Puchar Interwizji w gimnastyce artystycznej. 19.00 Dobranoc. 19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Ostatni brzeg” — film USA. 22.10 „Czas” — mag. publicystyczny. 22.40 „Siedem dni na świecie”. 23.00 Sportowe rytmy tygodnia. 23.50 „Wdowy” — serial ang.

PROGRAM II

15.55 Sobota w Dwójce. 16.00 „Halo, komputer”. 16.30 Godzina z C. Drzewieckim. 17.30 „Spektrum”. 18.00 Program lokalny. 18.30 „Wielka gra” — teleturniej. 19.30 Dziennik (dla niesłyszących). 20.00 „Stary górnik i zamek” — film dokum. 20.30 Festiwal Moniuszkowski w Kudowie Zdroju — koncert gwiazd. 21.30 „Studio Hl-Fi”. 22.15 „Klinika w Schwarzwaldzie” — serial RFN. 23.05 „Wokół Konkursu”.

NIEDZIELA
PROGRAM I

9.30 Teleranek oraz film „Koralowa Wyspa”. 10.35 „Tajemnice ludzkiego ciała” — film USA. 11.20 Finał turnieju bokserskiego o memoriał F. Stamma. 13.30 „Siedem mien”. 14.15 TV koncert zyczeń. 15.05 Teatr dla Dzieci: „Skarb w drewnianej karczynie”. 15.35 „Warszawa 1832-1863” — film dokum. 16.15 Puchar Interwizji w gimnastyce artystycznej. 17.35 „Pieprz i wanilia” — „Słonie, wielbłądy, krewetki”. 18.20 „Antena”. 19.00 Wieczorynka — „Dzieciństwo Muppetów”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Trzy młyny”. „Młyn nad Kamioną” — film polski. 20.50 „Pegaz”. 21.40 Sportowa niedziela. 22.15 Kabaret Olga Lipińskiej.

PROGRAM II

10.30 Film dla niesłyszących: „Trzy młyny”. 13.55 „Peryskop” — program publicyst. 14.25 Niedziela w Dwójce. 14.30 „Kwadran z hejnałem”. 14.45 „Jutro po midziakach”. 15.05 „Widokówka”. 16.00 „Robin Hood” — film ang. 16.50 „Zwierzęta w karmieniu”. „Wąwozy kangurów”. 17.20 Kalejdoskop filmowy „Kino-Okno”. 18.10 „Przebieg B. Kaczynskiego”. 19.00 Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego. 19.30 Dziennik (dla niesłyszących). 20.00 Studio Sport. 21.00 „Saga rodu Forsyte’ów” — serial ang. 22.50 „Kto jest kto” — widowisko teatralne.

PONIEDZIAŁEK
PROGRAM I

16.25 Dla młodych widzów: „Kwant”. 17.15 „Telexpress”. 17.30 „Echa stadionów”. 18.00 „Janosik” — serial polski. 19.00 Dobranoc. 19.10 „Laboratorium”. 19.30 Dziennik. 20.15 Teatr TV: A. Ayckbourn — „Syplalniana farsa”. 22.40 „Pieśń ujdzie cało” — film dokum.

PROGRAM II

17.30 „Zwyczajnie i obrzędy”. 18.30 Międzynarodowy Konkurs im. H. Wieniawskiego. 19.05 „Piękni i wspaniali”. 19.30 Dziennik. 20.05 „Nasza Warszawa”. 21.20 „Gwiazdy wielkiego sportu”. 22.20 „Ramon y Cajal” — serial hiszp.

WTOREK
PROGRAM I

16.25 Dla młodych widzów: „Akademia Muzyczna”. 16.50 Dla dzieci: „Wyprawy prof. Ciekawskiego”. 17.15 „Telexpress”. 17.30 „Gazeta rolnicza”. 18.20 „Plusy i minusy, czyli gospodarze znaki zapytania”. 19.00 Dobranoc. 19.10 „Diagnoza”. 19.30 Dziennik. 20.30 „Jenny” — serial norweski. 22.15 „Wieczór z Pegazem”.

PROGRAM II

17.30 „Blżej siebie”. 18.30 „Ginacy świat” — ang. film dokum. 19.30 Dziennik. 20.05 „Stać nas na to” — rep. 21.05 „Powroty” — program dokument. 21.45 „Wniebo-wzięcie” — film radz.

organ samojętny pod redakcją Wiesława Jagiełki

KOMŚZACHNITY

wieści ponadgminne

Naszej medycynie brakuje ostatnio niemal wszystkiego, z wyjątkiem pomysłów. Nie ma np. środków odkażających, także w szpitalach zakaźnych (!), ale za to tu i ówdzie można już sobie wybrać lekarza, u którego chcemy się leczyć. W praktyce wygląda to mniej więcej tak: z trzech — powiedzmy — internistów, jacy zatrudnieni są w danym rejonie (nadal obowiązuje rejonizacja pacjentów), wybieramy sobie jednego. Nietrudno, zresztą, domyślić się, jakiego, bo wiem najczęściej znajdzie się tam jeden z drugim stopniem specjalizacji i dwóch bezpośrednio, albo prawie bezpośrednio, po studiach. Nie można przecież tak rozlokowywać lekarzy, żeby w jednym rejonie byli sami specjaliści, a w drugim — nowicjusze. Zatem jakie mają szanse młodszy stażem i wiekiem w walce o pacjenta, a co za tym idzie — o większe pieniądze?

Niektórzy mówią, że jednak mają. Kiedy nie ma lekarstw, trafna diagnoza i zaordynowanie odpowiednich medykamentów, a więc podstawowe dotąd czynności medyczne, schodzą na drugi plan. Najważniejsze stają się lekka ręka i miękkie serce, tak potrzebne przy wystawianiu druków L-4, do czego z kolei nie potrzebna jest ani wiedza, ani staż, ani też jakakolwiek specjalizacja.

Przyjemnego chorowania!
KOMENTATOR

z pamiętnika seksualisty (120)

— Zopilda dobra być może na dobry początek, gdyż wdowa będąc, szczęście nam przynieść może, jeśli młodzian z nią się najpierw zada.

— Protestuję! — zaprotestowała druga, której głos wydał mi się dziwnie znajomy. — Najlepiej ja pójde sama. Potrzeby mam niezbyt wielkie w tych sprawach i gwarantuję, że nie wyczerpię sił witalnych naszego chwata.

— A czemuż to masz być właśnie ty? — zapytała zjadliwie kobieta brodziała. — Równie dobrze może być z nas każda.

— A wcale nie! — wrzasnęła jakaś baba. — Toż słyszałam wyraźnie, iż wzrostem ma być do jego wzrostu dobrana. Tak tedy ja jedynie warunkom owym odpowiadam, chociaż z pozoru o dwie stopy w górę go przerastam.

— O trzy stopy i siedem cali co najmniej! — zakrzyknęło kilka kobiet na raz. — My zaś

KRYZYSOWE JEDNO DANIE KOTLETY Z DYNI

Wyjąć pestki z dyni, sprzedać je po wysuszeniu. Za uzyskane w ten sposób pieniądze nabyć 2 dkg mięsa wieprzowego z wolnej sprzedaży, pokroić na pasemka i utkać w miejsce po pestkach. Całość wstawić do zimnego piekarnika na dwie godziny. Podawać z pieprzem ziołowym i solą jodową, używaną do solenia chodników.

GOSPODYN!

uniwersalna

wróżba

tygodnia

Ten tydzień z całą pewnością nie będzie należał do najlepszych w Twoim życiu. Nie wyklucza się i takiej możliwości, że w pracy zechcą dać Ci wreszcie coś do roboty, więc na wszelki wypadek nie czytaj kryminałów w sposób tak ostentacyjny, jak to robiłeś dotychczas. Możliwe są również inne komplikacje, łączące z koniecznością podjęcia decyzji, w sprawie ewentualnego zwrotu długów znajomym, których dłużej nie da się już unikać.

KASSANDER

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIEŚZAKIEM

Cudze chwalicie, a swojego nie znacie
Tuż za Piątnicą piękne fortyny macie
W nich jest historia całego regionu
Ale nie znana prawie nikomu

Bunkry i schrony jeszcze dziś stoją
Dzieci po nich biegają i niczego się nie boją
Ale ci co w pobliżu tych fortów mieszkają
Z bezradności ręce rozkładają

Dlaczego tak pięknej okolicy

Nikt nie zagospodaruje

I do zabytków nie zaliczy

Wycieczki oglądają skansen w Nowogrodzie

Forty to historia — życie z nią w zgodzie

Kierowcy! Fekalii i serwatki na fortyny nie wylewajcie!

Zlitujcie się nad przyrodą

I własnego środowiska nie zatruwajcie

Wystarczy, że smołownia i mleczarnia

Od lat nam smrodzi

Ale nikogo to nie obchodzi.

Nota biograficzna: SZPILECZKA z Piątnicy, bliższych danych brak, niestety.



Rys. Henryka Cebuli

PODREDAKCYJNA EKSTRAPOCZTA

Motto:
Dobrze czy źle,
było dużo.

„Kochana Pod redakcjo!

Zwracam się z serdeczną prośbą o pomoc w sprawie życiowej, związanej z moją dziewczyną, która ostatnio mnie unika bez powodów. Mo-

że jak przeczyta wiersz, albo kawałek prozy, bo umiem pisać prozę także, zechcę pójść po rozum do głowy i mnie nie oszukiwać? Kobieta zmienna jest, ale moja dziewczyna i-

mieniem Teresa B. zawsze była rozważna i mnie nie oszukiwała. Może więc wróci ona z drogi błędem po przeczy-

taniu mojej twórczości? Z niecierpliwością czekam na sygnał od Redakcji w spra-

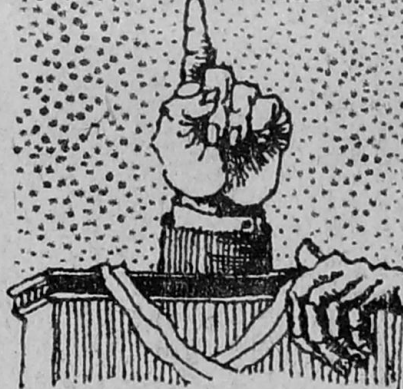
wie mojej prośby. Teksty wysię po potwierdzeniu odbioru listu.”

Janusz B. (nazwisko i adres znane pod redakcją)

„[...] i nie mam mieszkania teraz, bo musiałem się wyprowadzić w związku z demolacją kuchni przez moich znajomych, którzy bez prośnienia przyszli do mnie z butelkami wódki, a ja nie mogłem ich wyrzucić, bo byłem chory na gripę i dlatego bezsilny w swoich poczynaniach [...]. Proszę raz jeszcze mnie jakoś pomóc, gdyż jestem bez możliwości dachu nad głową.”

(nazwisko tylko do wiadomości pod redakcją)

W TYM TEMACIE



MYŚLI PRELEGENTA

„Urealniając nasze poczynania, należy stwierdzić z całą stanowczością, że nie będą one realne, dopóki coś nam nie zaświta.”

„Zawsze to powtarzałem i będę powtarzał, że nie sztuka coś tam mówić, ale sztuka gadając doprowadzić do rozkwitu swoje własne słowa, i tak dalej.”

„Bez potrzeby nie należy podnosić tych zagadnień, które można podnieść w zupełnie inny sposób, całkiem.”

„Nasza droga prowadzi po stromiznie odwróconej, więc trzeba ją przewrócić do góry nogami, żeby ją wyprostować jak najbardziej gładko.”

„Zawsze byłem ideowcem, więc każdy do mnie — ha, ha! A ja do nich — hi, hi! I tak żeśmy sobie konwersowali, absolutnie.”

„Reasumując moje wystąpienie, chcę powiedzieć, że z jednej strony było ono za długie, a z drugiej na pewno zbyt mało ciągnące się w czasie, bo nie omówiło tych aspektów wielu różnych zagadnień, z którymi przyszło nam borykać się osobiście lub przez kogo innego.”

MINI-KABARET

PIEKIELKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT
INTERPERSONALNO ADMINISTRACYJNY
PT

SZCZĘŚLIWY POWRÓT

(Miejsce akcji: pulawy nadnarwiańskie w pobliżu wojewódzkiego miasta Łomża, gdzie krząta się mamory oraz oczyszczalnia ścieków. Przy niezbyt wesóło trzaskającym ogniu rachitycznego ogniska siedzą cztery dobrze znane nam diabły.)

SUPRASKI: — Coście taki zadowolony z siebie, kuliego Narwiański? Slepka wam błyszczy niczym wieprzkowi przed Wielkim Zarciem, uśmiech macie obleśny taki bardziej, no i w ogóle promieniuje od was jakaś samozadowalająca się emanacja. Można wiedzieć, z jakiej to niby racji?

BUZAŃSKI: — Właśnie! Wszyscy wkoło strasznie się martwią, a wy szczęśliwi jesteście, jak ten, za przeproszeniem, ortopedrylasta!

NARWIAŃSKI: — Bo też i powód mam po temu całkiem specjalny. Otóż udało mi się taką finię wykreślić...

BIEBRZAŃSKI: — A u nas, w Goniendzu...

NARWIAŃSKI: — Nie przewracajcie mi, bagieny diable! Otóż, jak już wcześniej powiedziałem, udało mi się przedostatnio wielką finię wykreślić, taką...

BUZAŃSKI: — A czemu przedostatnio?

NARWIAŃSKI: — Bo to było jakiś miesiąc temu. Ale mi nie przeszkadza, do diabła, bo nie zdążył się tu przed nami pochwalić.

BIEBRZAŃSKI: — A u nas, w Goniendzu...

SUPRASKI: — Morda w kuble, rogaty diable!

NARWIAŃSKI: — No i spokój mamy. Otóż przed niejakim czasem kupa dziennikarzy z różnych redakcji wyjechała do Elbląga autokarem. Pochodził on z jakichś rolniczych kręgów czy kółek, kosztował prawie tyle, co w „Orbisie”, i kilkadziesiąt wiorst za Łomżą koło mu się urwało! Fajne, co?

BUZAŃSKI: — Jak wszyscy diabli! No i co, łomżyńscy organizatorzy na miejsce ogólnopolskiego sympozjum dziennikarzy nie dojechali?

NARWIAŃSKI: — Niestety tego mi się już załatwić nie udało. Podkusiłem ich, żeby rolniczy autokar najeli, a w rolnictwie uspołecznionym, wiadomo, i tak dalej. Później wszelako z pomocą przyszło im PGK, podstawiając swój autokar, jak na złość sprawny. I w ten sposób nie doszło, niestety, do blamażu łomżyńskich w kraju.

BIEBRZAŃSKI: — U nas, w Goniendzu, też się nie zawsze wszystko udaje!

SUPRASKI: — Cichajcie diabli!

BUZAŃSKI: — Tak czy owak, nie załamujcie się, kolego Narwiański. Pracujcie nad rolnictwem dalej, a z pewnością dopracujecie się sukcesów bardzo poważnych!

(Cdn.)

HASŁO TYGODNIA

NIGDY WIĘCEJ DRUGIEJ POLSKI